

W DRODZE

D W U T Y G O D N I K P O L I T Y C Z N Y I L I T E R A C K I

Nr. 5 (47)

Jerozolima, 1 marca 1945 r.

Rok III

WIKTOR WEINTRAUB

POKÓJ KRYMSKI

Postanowienia Konferencji w Jalcie, dotyczące Polski, potwierdziły najgorsze nasze obawy. Nie rozwiąły żadnej z nich.

Kiedy się czyta tekst komunikatu z dn. 12 lutego, już na pierwszy rzut oka uderza jedna osobliwość tych jego ustępów, które odnoszą się do Polski. Oto w dziejach historii dyplomatycznej tej wojny nie ma chyba drugiego dokumentu, w którym na przestrzeni kilkudziesięciu wierszy tyle razy powtarzałoby się słowo „demokracja“, w którym tak gęsto mówiłoby się o wolnych, nieskrępowanych, tajnych wyborach.

Tą obfitością demokratycznej terminologii przysłonięto postanowienia, które są zaprzeczeniem demokracji w stosunkach między narodami. Zaprzeczeniem zarówno jeśli idzie o metodę, jaką przyjęto przy rozstrzygnięciu spraw spornych, jak też i jeśli idzie o samą treść postanowień.

Jeśli idzie o metodę, dlatego, że postanowienia te, dotyczące spraw dla nas najistotniejszych, — niepodległości Polski i jej granic, — zostały podjęte bez najmniejszego naszego udziału. Podobnie jak i na Konferencji Teherańskiej, tak i teraz, decyzje te nie zostały negocjowane z nami. Zostały one nam narzucone.

Jeśli zaś idzie o samą treść postanowień, to są one niedemokratyczne zarówno wtedy, kiedy mówią o rozstrzygnięciach spraw granicznych, jak i wtedy, kiedy ustalają zasady, na których podstawie ma być stworzony nowy rząd polski.

Zacznijmy od spraw granicznych.

Koncepcja rosyjska chce oparcia wschodniej granicy państwa polskiego na Bugu, a zachodniej na Odrze, z tym że Polsce przypadłaby także część Prus Wschodnich na zachód od Królewca. Ustalenie zachodniej granicy Polski na Odrze wywołało, jak wiadomo, liczne sprzeciwy w państwach anglosaskich. Oponowano, że tak przeprowadzona linia graniczna albo stworzy dla Polski gigantyczny problem transferu 8 do 10 milionów Niemców, albo też pozostawi w granicach nowego państwa polskiego wielkie masy mniejszości niemieckiej, rozsadzające jego spójność. Podkreślano, że tego rodzaju rozwiązanie odda Polskę pod pełną polityczną zależność od Rosji. Tylko bowiem w oparciu o Rosję Polska mogłaby tak wielkie zdobycze terytorialne utrzymać i strawić.

Mniejsza o to, o ile wszystkie te zastrzeżenia podyktowane były troską o spójność i niezależność Polski, o ile zaś kierowała nimi chęć obrony Niemiec przed „krzywdą“ i „niesprawiedliwym pokojem“. Faktem jest, że zastrzeżenia te były w opinii krajów anglosaskich bardzo silne. I faktem jest, że sprawa ustalenia zachodniej i północnej granicy Polski to jedyna sprawa, w której w sposób istotny odstąpiono od rozwiązania, proponowanego przez Rosjan, ograniczając się do zapewnień, iż Polska otrzyma „znaczące nabytki“ (substantial concessions) na północy i na zachodzie, przy czym, z właściwą całemu dokumentowi hipokryzją, odłożenie decyzji tłumaczono koniecznością konsultacji w tej sprawie z mającym powstać nowym rządem polskim.

Na to ustępstwo Rosjanie mogli zgodzić się tym łatwiej, że pozostawienie w zawieszeniu sprawy wytyczenia zachodniej i północnej granicy Polski jest co prawda odstępstwem od wysuwanej przez Rosjan koncepcji, ale że trudno je uważać za dyplomatyczną porażkę Rosji. Daje ono bowiem Rosjanom z jednej strony możliwość prowadzenia w przyszłości gry dyplomatycznej z Niemcami w sprawie

takiego czy innego ustalenia tej granicy, z drugiej zaś — pozwala im zrzucić wobec Polaków odium za ewentualne niepomyślne dla Polski rozwiązanie na mocarstwa anglosaskie.

Zato ustalenie wschodniej granicy Polski wzdłuż linii Curzona z minimalnymi rektyfikacjami na korzyść Polski stanowi już pełne zwycięstwo tezy rosyjskiej. Przy wytyczeniu tej granicy nie liczono się z potrzebą pytania się o zdanie Polaków. Drobne poprawki graniczne, — pięć do ośmiu kilometrów na niektórych odcinkach, — są, zważywszy ogrom wchodzących w grę terytoriów, zupełnie nieistotne. Ich rola więc jest taka sama, co demokratycznej frazeologii, w jaką spowito cały komunikat Konferencji. Zadaniem ich jest utajenie faktu, że w ten sposób usankcjonowany został stan rzeczy, wywołany jednostronną decyzją rosyjską.

Polsce, w ten sposób okrojonej na wschodzie i z nieustalonymi granicami na zachodzie, postanowienia Konferencji nie zapewniają ani prawdziwej niepodległości, ani demokratycznego reżimu. Rozwiązanie krymskie usprawiedliwia i tu najgorsze nasze obawy.

Postanowienie Konferencji głosi, iż „Rząd Tymczasowy, sprawujący obecnie władzę w Polsce, ma być zreorganizowany na szerszych, demokratycznych podstawach“.

I w takim postawieniu sprawy znów natrafiamy na zakłamanie.

Podstawową zasadą demokracji jest prawo do opozycji. Pod rządami Komitetu Lubelskiego opozycja nie ma swobody dojścia do głosu i rozwijania działalności politycznej. Nie ma dziś w Polsce ani jednego dziennika, który by mógł uprawiać opozycję w stosunku do polityki Komitetu. Ludzie, którzy nie chcą się Komitetowi bez zastrzeżeń podporządkować, nie są dopuszczani do głosu. Co gorsza, ludzie ci są więzieni i deportowani.

Demokracja to także swobodne ścieranie się różnych programów partyjnych. Niczego takiego w Polsce pod rządami Komitetu Lubelskiego nie ma. W skład Komitetu wchodzi co prawda przedstawiciele rzekomych czterech różnych partii, ale nikt nie potrafi wskazać różnic w programach politycznych tych partii, punktów, w których się one nie zgadzają. Zarówno jeśli idzie o program, jak i metody jego urzeczywistnienia, wszystkie one są jednorodne, wszystkie tak samo bez zastrzeżeń akceptują każde posunięcie Komitetu.

Rzecz prosta, taka jednomyślność, brak jakichkolwiek różnic zdań i cienia opozycji nie ma nic wspólnego z faktem istnienia rzekomej koalicji stronnictw, wchodzących w skład Komitetu Lubelskiego.

Rząd de Gaulle'a jest również rządem szerokiej koalicji stronnictw „demokratycznych i antyfaszystowskich“. Mimo to w ramach tej koalicji, podobnie jak w każdej koalicji w państwach naprawdę demokratycznych, jesteśmy świadkami żywego i publicznego ścierania się różnych poglądów, rozmaitych punktów widzenia. Różne stronnictwa, nie cofając swego poparcia rządowi de Gaulle'a, ani też nie wycofując się jeszcze z koalicji,

Z numerem dzisiejszym w związku z zarządzeniami oszczędnościowymi dwutygodnik „W Drodze“ zostaje zawieszony. Redakcja, żegnając się ze wszystkimi czytelnikami i współpracownikami pisma, ma nadzieję, że zwycięstwo to nie jest ostateczne i że dziś zwłaszcza, kiedy potrzeba każdej swobodnej tribuny polskiej myśli politycznej i kulturalnej jest szczególnie paląca, znajdą się możliwości wznowienia pisma w takiej czy innej postaci.

poszczególne posunięcia jego gabinetu krytykują. I to nieraz ostro, żeby przypomnieć ostatnie dyskusje w sprawie zasięgu akcji represyjnej przeciwko kolaboracjonistom, czy w sprawie stosunku rządu do Résistance. I jest to zjawisko zupełnie normalne. Bez takiej różnicy zdań nie ma — nawet przy istnieniu najbardziej zwartej koalicji rządzącej — naprawdę swobodnej opinii publicznej, nie ma demokracji.

Otóż niczego podobnego nie ma w tej chwili na ziemiach polskich. Tam w stosunku do rządzącej administracji uznawana jest tylko jedna postawa: czolobitości, jednomyślnego, na rozkaz, hurrazachwytu. We wszystkich sprawach wszyscy są tam zawsze jednomyślni. Wszystkie posunięcia administracji wzbudzają u wszystkich taki sam entuzjazm.

Dla każdego, kto chce patrzeć, jest rzeczą oczywistą, że rzekome istnienie różnych partii politycznych w Komitecie Lubelskim to potiomkinada, to tylko maskarada ludzi, którzy w Polsce rządzą metodami totalistycznymi, a ze względów taktycznych trzymają się w tej chwili pozorów istnienia wielopartyjnej koalicji. Że zatem droga do wprowadzenia do Polski prawdziwej, nie fikcyjnej, demokracji prowadzi jedynie poprzez usunięcie Komitetu i dopuszczenie do głosu tych partii, które naprawdę odłamy polskiej opinii publicznej reprezentują, nie zaś przez budowanie nowego rządu na podstawie tego własnie Komitetu.

Komunikat Konferencji Trzech po wielokroć zapewnia nas, że chce zaprowadzenia w Polsce ustroju demokratycznego. Zapewnienia te muszą jednak brzmieć fałszywie. Grają one bowiem na pewnej dwuznaczności w rozumieniu słowa demokracja. Z oficjalnego sowieckiego punktu widzenia w Rosji panuje przecież od 27 lat zgórą także demokracja. Pełna demokracja. Wszelka władza pochodzi tam z wyboru. Obywatel ma pełną swobodę wypowiedzania swoich opinii, krytykowania władz, spełniania praktyk religijnych. Konstytucja Stalinowska zapewnia każdemu obywatelowi ZSRR wolność słowa. Jeżeli zaś w Rosji nie ma żadnej innej partii poza partią komunistyczną, to tylko dlatego, że cała ludność jednomyślnie i dobrowolnie zdecydowała się na popieranie tej jednej partii.

Ale w przekładzie na język angielski ta demokracja nazywa się „the totalitarian communism“. Tak samo jak w przekładzie na język rosyjski zasady demokracji zachodnio-europejskich czy demokracji amerykańskiej to „kapitalistyczny gniot“. I nie ma między tymi dwoma demokracjami wspólnego mianownika.

Otóż zakłamanie oświadczeń o demokracji, jakiej zasady rzekomo gruntują w Polsce postanowienia Konferencji w Jalcie, polega na tym, że każda ze stron, mówiąc słowo „demokracja“, podstawia pod nie inną treść. Ponieważ zaś Polskę zajmują w tej chwili nie wojska amerykańskie czy brytyjskie, ale rosyjskie, więc też w Polsce będzie realizowana w rezultacie postanowień Konferencji Krymskiej „demokracja“ w znaczeniu

Wydawnictwo „W Drodze“ nie przerywa swojej działalności. W planie jest wydanie w najbliższej przyszłości szeregu nowych książek, m. in. Zdzisława Broncia, Władysława Broniewskiego, H. S. Dominika, Karola Estreichera, Bohdana Łączkowskiego, Ksawerego Pruszyńskiego i Józefa Wittlina, kontynuowanie polskiej serii „Oxford Pamphlets“ oraz nowe, rozszerzone wydanie antologii Łukasza Kurdybachy „Naród w walce“.

W numerze:

Z. Broncel: Yankes w krainie czarów. II. — I. Kleszczyński: Włoska dyktatura proletariatu — I. Piotrowska: Walka Warszawy o wolność i niepodległość w malarstwie polskim. — Nowy tom Broniewskiego. — K. Grzybowski: Krzywa rozroczności a przyszłość Europy. II. Świat z perspektywy roku 1970. — Porucznik Herbert: Flying control. II. — Z. Broncel: Z teatru. Czwarte nieporozumienie. X. K. Kantak: Wiersze Marii Petry.

rosyjskim, z zachowaniem dla uspokojenia opinii Zachodu pewnych form zewnętrznych, właściwych demokracjom zachodnio-europejskim i amerykańskiej.

Na wprowadzenie do Polski demokracji w sensie zachodnio-europejskim nie ma na podstawie rezultatów Konferencji Krymskiej żadnych szans, ponieważ nie ma żadnych gwarancji swobodnego funkcjonowania w Polsce takiej prawdziwej — w naszym rozumieniu — demokracji.

Komunikat Konferencji mówi co prawda, że ambasadorowie amerykański i brytyjski w Warszawie będą informowali swoje rządy o stanie rzeczy w Polsce, zdanie to jest jednak tylko charakterystyczne dla tej hipokryzji, jaka cechuje wszystkie polskie postanowienia Konferencji. Zdanie to bowiem ma stwarzać pozory tego, że jakaś forma międzynarodowej kontroli będzie w Polsce jednak istniała. W rzeczywistości jednak nie wprowadza ono ani cienia istotnej kontroli. Nie mówi bowiem nic o tym, jaka procedura zostanie zastosowana wtedy, kiedy obce mocarstwo, korzystając z tego, że wojska jego znajdują się na terytorium Polski, będzie chciało wywierać nacisk na decyzje jej rządu, kiedy zasady demokracji będą w życiu politycznym Polski łamane. O to zaś, że panowie Eden i Stettinius będą dobrze poinformowani, jak naprawdę wyglądają rzeczy w Polsce, byliśmy i bez tego zastrzeżenia spokojni.

Kto by miał jeszcze jakieś wątpliwości, czy taka interpretacja postanowień Konferencji Trzech jest słuszna, u tego wszelkie zastrzeżenia powinna usunąć reakcja kół Komitetu Lubelskiego na decyzje, jakie zapadły w Jalcie.

Ludzie ci stale twierdzili dotychczas, — podobnie zresztą jak każde ugrupowanie totalistyczne, które się dorwało do rządów, — że oni i tylko oni wyłącznie reprezentują całe społeczeństwo polskie. Że ich rząd jest w pełni reprezentacyjny. Że kto nie jest z nimi, jest wrogiem narodu polskiego i demokracji.

Dziś ludzie ci z entuzjazmem przyjęli postanowienia Konferencji w Jalcie. Jedno więc z dwojga. Albo uważają oni, że przez rekonstrukcję Komitetu na „szerszych, demokratycznych podstawach“ nic się rzeczywiście nie zmieni, że zatem ewentualni nowi ludzie dostarczą tylko lepszego, bardziej „demokratycznego“ szyldu dla tej samej totalistycznej firmy, albo też ludzie ci w ogóle niczego sami nie uważają, w ogóle nie mają żadnego własnego zdania, a z równym posłuszeństwem przyjmą każde rozwiązanie, na które pójdzie ich mocodawca. Takim samym entuzjazmem napelni ich wiadomość o włączeniu w granice Rzeczypospolitej Szczecina, z jakim przyjęli decyzję o pozostawieniu poza jej granicami Lwowa.

W postanowieniach Konferencji Krymskiej trzeba zatem rozróżnić jej sformułowania, które mówią o kompromisie, zagwarantowaniu Polsce niepodległości i ugruntowaniu w niej ustroju demokratycznego, oraz ich prawdziwą treść polityczną, która twierdzi coś wręcz odwrotnego.

W rzeczywistości bowiem te postanowienia Konferencji, które dotyczą Polski, nie są kompromisem, ale zgodą mocarstw anglosaskich we wszystkich istotnych sprawach na rosyjski punkt widzenia.

Pod pozorem zaprowadzenia demokracji postanowienia to pozwalają ugruntować się w Polsce ustrojowi totalistycznemu.

Mówiąc o silnej i niepodległej Polsce, oddają one Polskę pod niepodzielny i niczym nie zrównoważony wpływ rosyjski.

ZDZISŁAW BRONCEL

YANKES W KRAINIE CZARÓW

III

Nad całokształtem życia sowieckiego, jak mit, jak tajemnica Pisma, unosi się wielki, szlachetny cel: obrony proletariatu i zapewnienia mu szczęśliwego bytu. Dlatego też — wnioskuje Davies — komunizm jest altruistyczny w swej istocie, jak każda religia, — zarazem i wznosząc się do idealizmu i wydając niszczący fanatyzm. Tu też tkwi zasadnicza różnica wobec hitlerizmu, za którego praktyką nie stoi żaden ogólnoludzki ideał. Davies formułuje ostateczny cel komunistyczny jako braterstwo ludzi i osiągnięcie ogólnego dobrobytu, krytykuje natomiast metodę i straszną cenę, jaką społeczeństwo musi płacić za jej zastosowanie.

„Jeżeli idzie o ich motyw, — pisze, — ufam ich szczerości i uczciwości. Zaufaj, że wielki ten eksperyment nie mógł zostać oparty na zasadach chrześcijaństwa”.

Ostatnie zdanie odsłania błąd we wnioskach Daviesa. Rewolucja komunistyczna była i jest nie do pogodzenia z chrześcijaństwem, gdyż cywilizacja chrześcijańska, nie stawiając pomyślności gospodarczej w hierarchii celów ludzkich na najwyższym miejscu, a ponadto przekładając dobra duchowe, jak np. wolność myśli, nad dobra materialne, z góry ogranicza metody, które wolno stosować dla zapewnienia człowiekowi szczęścia na ziemi.

Komunizm, czyniąc dobrobyt materialny istotnym szczęściem, warunkiem wolności, dopuszcza wszelkie środki działania, sam wnosząc się do wyżyn religii, t. j. objawienia przeznaczeń i istotnego celu człowieka.

W systemie cywilizacji chrześcijańskiej zabicie człowieka nie jest jedynie wywołaniem zmiany form skupienia materii, tworzącej w danym momencie jednostkę ludzką, — sprawa nie kończy się śmiercią, lecz trwa poprzez wieczność, żądając sprawiedliwości i stając konkretną pozycją w rachunku.

Komunizm usprawiedliwia się idealistycznymi celami, lecz ów mit dobrobytu i przyjaznych stosunków ludzkich wydaje się równie daleki jak chrześcijańskie królestwo Boże na ziemi, — każde pokolenie staje zawsze wobec rzeczywistości metod życia w jego własnej epoce. Gdy sankcjonować wszystkie metody w imię przyszłości, wówczas burzą one obecny dorobek cywilizacyjny. By na taki gest się zdobyć, trzeba wierzyć, trzeba być fanatykiem, a fanatyzm wszelkiego rodzaju najwięcej, jak dotąd, wyrządził szkody na ziemi.

Stąd też terror komunistyczny musi iść ze źródeł wiary, ze źródeł jednak nigdy nie dającego się pogodzić z chrześcijaństwem. Religia jest zawsze jednością i objawieniem pełnym i absolutnym. I jeżeli nawet współczesna myśl oddala się często od chrześcijańskiej konstrukcji dogmatycznej, pozostaje jednak na naszej cywilizacji istotny stygmat chrześcijaństwa: nieprzełamaną niczym wartość jednostki ludzkiej i jej odrębności w świecie przyrody, budząca prawie religijny szacunek.

Szczęście izolacji

Z argumentów Daviesa znienacka wychodzi sztych z worka. Po dysertacji o komunizmie zastrzega się, że amerykański system polityczny uważa za idealny. Zalecając współpracę z Sowietami, usuwa na bok niebezpieczeństwo komunizmu, jako nieistniejące dla Stanów Zjednoczonych, kraju zbyt ceniącego wolność i... z b y t b o g a t e g o, by się w nim komunizm mógł przyjąć. Jeżeli bezrobotny ma swój dom, zakupiony w rządowej akcji tanich domów rodzinnych, — twierdzi Davies, — z pewnością wybierze inny system udoskonalenia podziału dóbr, niż system sowiecki.

Tak oto odzywa się utajony amerykański izolacjonizm, naiwna odległość od burz Europy, izolacjonizm ten sam, który pozwala Daviesowi zapomnieć, iż pokonanie Japonii tak postawi wobec siebie Amerykę i Związek sowiecki, jak pokonanie Niemców wyjmując tampon między chrześcijańską Anglią i Francją a komunistyczną Rosją.

Jakaż jest dalsza przyszłość? — tę kwestię rozwiązuje autor brakiem wiary w powodzenie komunizmu. Fakt, że ktoś przyjął doktrynę Marxa, — mówi Davies, — nie zmieni jeszcze utrwalaonych przez tysiące lat odruchów człowieka, nie przekształci pracy jego gruczołów w ciągu jednego pokolenia. Praktyka zresztą sowiecka wskazuje, że komunizm is not working, — dalsze lata przyniosą jeszcze większe przesunięcia na prawo, co jest najbardziej prawdopodobne, lub też reżim ulegnie zmianie, jako „niezgodny z naturą ludzką”.

Zagadka procesów

Zbudowane w ten sposób rozumowanie o wartościach moralnych komunizmu spotyka się nagle z głęboką niespodzianką w procesach moskiewskich. Davies uważa je za rezultat rywalizacji pewnych kół komunistycznych oraz za skutek zbyt energicznie wyrażonych obaw armii, iż agitacja partyjna zdezorganizuje przemysł. Wyroki, usprawiedliwione w świetle prawa sowieckiego, są zwycięstwem jednej ze stron i osiągnięciem przez państwo pożytecznej jedności. Nic jednakże nie może wytłumaczyć, że pokonani przeciwnicy polityczni, ludzie wielkich ambicji i energii, ludzie okrutnego doświadczenia rewolucji, na ławie oskarżonych przyznają się do wszystkiego

II*)

go, dobrowolnie dodając nowe jeszcze zbrodnie, a Jagoda, aresztowany szef GPU, opowiada cynicznie, jak z jego polecenia lekarze „leczili na śmierć” Gorkiego, by skompromitować reżim otruciem popularnej postaci i ułatwić Jagodzie stosunki z żoną młodego Gorkiego, czemu miał przeszkadzać Gorki-ojciec.

Davies znał dobrze większość oskarżonych. Tuchaczewskiego, aresztowanego w miesiąc po wyznaczeniu go delegatem na uroczystości koronacyjne w Londynie, przyjmował w ambasadzie. Krestinskiemu, wicekomisarzowi spraw zagranicznych, przedstawiał listy uwierzytelniające, z Rosenholtzem prowadził cały czas rozmowy na temat długu Kiereńskiego i spraw handlowych. Romma z procesu Radka — znał jako najlepszego propagandzistę Sowietów w Ameryce. W procesie Bucharina pod zarzutami zdrady, spisku, sabotażu, zabójstwa i t. p. — stał ośmiu byłych ministrów, w tym jeden ex-premier, nie brak też wice ministrów, jednego z najgłośniejszych liderów partii, prezydenta jednej z republik i paru ambasadorów.

W sumie, nie licząc czystki ludzi pomniejszych i rozstrzeliwań na prowincji, — procesy ogarniają 40 obecnych lub byłych członków Centralnego Komitetu partii, 9 członków najwyższej praktycznie sowieckiej instancji. — Politbiura, 18 byłych lub byłych członków 50 zastępców komisarzy ludowych, 16 ambasadorów lub posłów i większość premierów poszczególnych republik. Widowisko monstre. Jeden z korespondentów zagranicznych w Moskwie mógł powiedzieć o Rosji: „Habeas corpus zamieniono się tutaj w habeas cadaver”.

Sytuacja jest tak nieprawdopodobna, jakby pewnego dnia Morgenthau, Welles, Bullit, Dood, Kennedy i kilkunastu najwyższych dowódców zasiadło na ławie oskarżonych Sądu Federalnego pod zarzutem spisku z Japonią i Niemcami na życie Roosevelta. Ci sami ludzie, których szlachetne intencje, wiarę w ideał braterstwa ludzi — Davies tak gorąco pochwalał, podzielili się na dwie grupy. W jednej są ci, którzy aresztują, w drugiej — aresztowani. Do pierwszej należy oczywiście Stalin, którego spojrzenie jest tak zwycięskie i łagodne, że „dziecko pragnęłoby się do niego” na kolanach i każdy pies łasiłby się do niego”, a obok Stalina — Kalinin „comfortable like an old shoe” i nowi dygnitarze, następcy oskarżonych, ze świeżym szefem NKWD na czele, na krok nie odstępującym Stalina na publicznych uroczystościach.

Habeas cadaver

Dziennikarze amerykańscy depeszują, domagając się interwencji na rzecz Romma. Davies usiłuje mu pomóc w dyskretny sposób, lecz wszelkie starania spełzają na niczym. Litwinów gotów jest coś niecoś obiecać, lecz wszelkie starania spełzają na niczym, gdy Romm sam przyznaje się do trockizmu, przesłania listów i pieniędzy dla organizacji spiskowej i innych przestępstw, prowadzących pod rewolwerową kulę w podziemiach Łubianki. Na ulicach tłum manifestuje z radością, że „zdradcy zostali wykryci i ukarani”.

Te dwa fakty, dobrowolne przyznanie się i brak tła jakiegos ruchu społecznego, na którym opierałby się zarzucany przez oskarżenie spisek, — zaskakują Daviesa. Cała jego hipoteza o naturze komunizmu staje wobec tej zagadki beznadziejna — i tym samym, potykając się na tescie doświadczenia, musi upaść.

Oskarżeni przyznają się: spokojnie, obojętnie wyliczanie zbrodni, kosztujących tysiące żyć ludzkich, a zagrażających milionom; zaskakiwanie prokuratora deklaracją nowych win, jakaś makabryczna igraszka z aktem oskarżenia, rosnącym z każdym zeznaniem, epatowanie sądu rozmiarami przestępstwa, a wszystko to w oparciu o formułę, wielbiącą zwycięski reżim, wyrażającą żal za własną głupotę i błędy. Davies wnika w polityczne i gospodarcze tło procesu, w reakcję na straszną wysiłkę pięcioletek, w protest „starych bolszewików” przeciw totalistycznemu państwowemu kapitalizmowi, w obawę armii, że napięcie agitacji i partyjnej czystki zdezorganizuje przemysł. Lecz na „samopokajanie się” — nie znajduje odpowiedzi.

Ludzie, którzy nie bali się śmierci, tworząc rewolucję, dziś depcą własną pamięć, gdy upokarzają się bez nadziei uzyskania łaski. Wiedzą przecież, muszą wiedzieć, że kodeks sowiecki karze śmiercią choćby dalekie współdziałanie, choćby uczestniczenie w związku, którego członkowie przygotowują działania nielegalne. Radek i Sokolnikow doznali łaski, — 10 lat więzienia, — lecz ci dwaj byli donosicielami, jeszcze po procesie i wyroku, sprowadzano ich na sesję Politbiura, by rzucali oskarżenia prosto w twarz nowym kandydatom do więzienia.

Czemu ci ludzie doświadczeni i odważni potwierdzają śmiertelność dla nich interpretację faktów, gdy raczej interpretacja, niż sam fakt, jest bronią, jaką w nich bije prokurator? Jeżeli nawet przyjąć, że zmuszono ich jakimiś środkami do przyznania się w czynie śledztwa, czemuż przyznają się dziś: — publicznie, na zatłoczonej sali, gdzie nikt ich nie tknie?

*) Termin kary Radka, tak dobrze znanego w polskich kołach literackich, kończy się za dwa lata...

Jak wyjaśnić brak wyjątku w tej postawie, wstrząsającą jedynomyślną samobójczego pędu ku śmierci? Skąd władze czerpały pewność, iż żaden z oskarżonych na jawnym procesie nie wypowie tyrady przeciw reżimowi? Na proces, jak na zamówiony wiec, sprowadzano coraz to inną partię robotników, — uczestnicy widowiska byli następnie obowiązani powiedzieć na fabrycznych zebraniach, co widzieli i słyszeli.

Logika systemu

Davies stwierdza, że oskarżeni mieli wygląd normalny i nie można było dostrzec ewentualnych udręceń. Odrzuca teorie stosowania pewnych środków chemicznych, znanych różnym wywiadowi, gdyż tą metodą nie sposób osiągnąć tak skomplikowanych, różnorodnych, a konsekwentnie powiązanych zeznań.

Nie podobna również przyjąć tezy kryzysu psychicznego, gdyż ani nie tłumaczy ona masowości zjawiska, ani nie daje gwarancji, że nie nastąpi w ostatniej chwili odwrotna reakcja. Tak zeznawać mogą tylko ludzie winni, albo ludzie mający doskonale zbudowany, logiczny, przytaczający sąd, że trzeba mówić „tak” na każdy zarzut prokuratora. Lecz nawet winnym pozostawałaby droga demonstracji, przejście obok zwycięzców ze wzgardliwym, obojętnym milczeniem.

Możliwości stopniowo ograniczają się do jednej: oskarżeni musieli wszyscy uzyskać pełne, jasne przekonanie, iż jedyną właściwą drogą, zachowującą ich godność na procesie, jest przyjęcie na siebie wszystkich win. Człowiek aresztowany może pod wpływem zręcznego śledztwa potwierdzić wszystko i — wszystko odwołać na procesie. Gwarancję zachowania się w sali sądowej daje nie człowiek sterroryzowany, tylko — człowiek przekonany.

Wytłumaczenie leży w materialistycznej tezie komunizmu, w skonstruowanej „bezdusznosci” i „bezwoli” człowieka, ograniczonego do biologicznego determinizmu historycznego, który nie jest znowuż niczym innym, jak prawem biologicznym, pomnożonym przez społeczeństwo. Przyszłość jest absolutnym, matematycznym wynikiem już istniejących faktów dziejowych. którym człowiek, działający w swej współczesności, nie może nadać nowych form, nie może odegrać roli istotnie twórczej, gdyż sam jest ograniczony, jako wynik przeszłości, przez determinizm historyczny.

Takie postawienie sprawy, krańcowo sprzeczne z woluntaryzmem, z dostrzeganiem pierwiastków twórczych w psychice ludzkiej, z całą filozofią cywilizacji chrześcijańskiej, — z góry wyłącza zagadnienie winnych. Są ci, którzy zwyciężyli, i ci, co przegrali. Zwycięzcy mają rację, gdyż są w zgodzie z historycznym prawem, z logiką świata, którą potwierdzili swym sukcesem.

Gdy zaś nie ma pojęcia ani prawdy w sensie absolutnym, ani pojęcia słuszności, wysnutego z określonej ideologii, nie ma również pojęcia winy. Na procesach nie przyznają się jedynie dwie kategorie oskarżonych: ci, którzy sądzą, że zdołają tym obronić swą sprawę, i ci, którzy są niewinni w sumieniu i bronią swej prawdy wewnętrznej na przekór całemu światu.

Wobec śmierci

Dla oskarżonych w procesach moskiewskich — poza denuncjatorami, jak Radek — z góry nie istniała pierwsza możliwość. Druga sytuacja dla ludzi, wierzących jedynie w praktykę życia, również nie istnieje. Gdyby w Rosji zwyciężył nowy car, car miałby rację jako zwycięzca, — oni byłiby winni jako komuniści, gdyż sprzeciwili się temu, co historia w danym momencie uważa za właściwe, sprzeciwili się rzeczy jedynie słusznej, — naturalnemu biegowi historii.

Gdy przez całe istnienie na miejsce nie naruszalnych praw człowieka, na miejsce zagadnienia winy, słuszności i braku słuszności stawiało się wymowę faktów, byłoby dziś rzeczą groteskową upierać się, że są czysti i niewinni. Niewinność istotna nie istnieje, — gdyby opozycja zwyciężyła, ci, co dzisiaj skazują, siedzieliby na tej samej ławie oskarżenia, jako „winni”, gdyż bronili takiej władzy, której było sądzone upaść.

Umrzeć z godnością, bohaterską postawą, przekazać swą ideę następcom? — Ex-członkowie Politbiura wiedzą dobrze, że współczesna technika administracji i propagandy łatwo potrafi zlikwidować skutki podobnych gestów. Zresztą pojęcie zachowania godności wobec śmierci jest względne. Jeśli wolno użyć drastycznego porównania, przestępca kryminalny zyskuje uznanie współwzrosty i pośmiertną sławę bohatera, gdy obrzuci kata ulicznymi wyzwiskami, podczas gdy wierzący chrześcijanin przyjmuje śmierć z pokorą i cichą radością, jako przejście do lepszego świata.

Wydaje się, że jedyną właśnie godną postawą dla oskarżonych było zachowanie tej samej dyscypliny myślowej, tej samej konsekwencji, z jaką walczyli o rewolucję, tej samej wiary w materializm dziejowy, jaka ich prowadziła do walki — i do śmierci z rąk Rewolucji, zawsze pozerającej swych ojców i swe dzieci.

Gdyby oskarżeni zaprzeczali rzeczom niepojętym, w naszym odczuciu ocaliliby swą ludzką godność, w odczuciu komunistycznym daliby zawstydzające widowisko zdrady włas-

nego systemu myślenia. Plan ich załamaj się: są „winni”, gdyż przegrali, musieli być słabsi od istniejącej władzy, a ich usiłowanie w danych warunkach historycznych było nietrafne i „niesłuszne”. Gdyby mieli rację, — w kategorii materializmu dialektycznego, — zwyciężyliby. Działając niesłusznie, działali na szkodę swego ideału, — rewolucji. Czyż nie są więc „winni”? Są, — ale nie przez to, że ewentualnie przygotowywali spisek lub popełnili ten czy inny sabotaż, są winni przez sam fakt, że zostali aresztowani.

Zostało im jedno, — okazać na procesie, jak jednak wysoką klasą ludzi są starzy bolszewicy. To znaczy, — przyznać się, obciążając zeznaniami współoskarżonych, uwielbić reżim, pokajać się i oddać usługę rewolucji w zamian za to, że ich rozstrzela.

Sytuacja odwraca się: przez swą śmierć odnoszą oni ostatnie zwycięstwo rewolucyjne, torując drogę władzy, która „miała słuszność”. Trzeba im wszystkim przyznać, że zginęli z godnością: obrzucili błotem, oczernili swą pamięć, nikt nie pójdzie w ich ślady, w ślady zdrajców, zabójców, złodziei i rozpustników. Jeżeli dodawali nowe zbrodnie do prokurator-skiej listy, być może była to już tylko niewinna ślabość, której trudno odmówić ludziom, idącym na śmierć: chcieli pokazać, że zrozumieli sytuację lepiej od prokuratora i sądu. Może nawet znalazła się w tym i nuta dowcipu: pofantazjowali, aby popatować, pokazać: my jednak wiemy coś więcej, — umrzeć i zostawić wśród dawnych przyjaciół nieco niepokojów...

Tak tok rozumowania nieomal wymyka się spod instrumentów myślenia człowieka cywilizacji chrześcijańskiej, wierzącego w abstrakcyjną sprawiedliwość i w kształtującą świat wiarę człowieka. Rozumowanie Daviesa, szukające punktów stykowych między tymi dwiema filozofiami, jest albo naiwnością, albo szaleństwem intelektualnym. Autor mocny jest na polu wiedzy ekonomicznej. Uprościł dla niego rozumowanie. Filozofia komunistyczna to: beatus qui tenet.

Kto nie uwierzył, ujrzy i uwierzy.

IV

Jedną z najciekawszych partii „Mission to Moscow” są raporty i notatki dotyczące narastania nieufności między Anglią a Rosją w latach 1936—1939, a na koniec przebiegu równocześnie odbywających się rokowań: aliancko-sowieckich i sowiecko-niemieckich. Wiele rzeczy wyłania się zza kulis, ale Davies widzi je wyłącznie w jednym świetle, w świetle swego moskiewskiego gabinetu.

Pogląd Daviesa na politykę Związku sowieckiego wynika z następującego sylogizmu. Ludność Związku, wyczerpana budowaniem ciężkiego przemysłu, czeka z upragnieniem na pierwszy przedświt komunistycznego raj, na wzmoczenie produkcji dóbr konsumpcyjnych. Struny nie wolno przeciągać, żaden reżim nie może w nieskończoność posługiwać się terrorem, — należy dać odprężenie i spełnić część obietnic. Trzeci plan pięcioletni kończy się w r. 1942 i przyniesie pod tym względem znaczne wyniki. Potrzebny jest zatem pokój. Co najmniej do r. 1942, im dłużej zaś, tym mocniej osłabie w społeczeństwie eksperyment socjalistycznego państwa. Stąd już naturalny wniosek, że Rosja, szukająca „najlepszego” pokoju, nie zadowolili się ofertą angielską, gdy inny kontrahent daje więcej.

Nie dyskutując w tej chwili samego przebiegu zsynchronizowanych rokowań z różnymi kontrahentami, wolno zakwestionować sylogizm Daviesa. Pokój i bezpieczeństwo Związek sowiecki osiąga nie tylko, gdy stwarza koalicję zagrażającą napastnikowi, lecz także, gdy agresję kieruje w inną stronę. Wyczerpani ewentualną walką dwaj kapitalistyczni przeciwnicy nie są następnie zdolni przez czas dłuższy, do lat 20, do podjęcia akcji przeciw interesom z trudem dźwiganego socjalistycznego państwa...

Ta druga metoda ma nawet tę wyższość, że zwalnia od nieustannego czuwania nad osaczonym agresorem, co prędzej czy później kończy się albo wojną, albo rozerwaniem koalicji (vide: polityka europejska po Wersalu) i powrotem niebezpieczeństwa. Jest przy tym znacznie mniejsza szansa, by walczący przeciwnicy zdołali porozumieć się przy pomocy jakichś specjalnych wysłanników, zrzucających ze spadoczonów.

Na dnie owej drugiej konstrukcji musi leżeć pewność, że posługujące się nią państwo potrafi, w razie potrzeby, obronić się przed kontrahentem, któremu zabezpiecza tyły, a który może zmienić zdanie i odwrócić się znienacka. Cała książka Daviesa pełna jest dowodów, iż takiemu właśnie dogmatowi dawano w Rosji wielką wiarę. Historia wykazała omyłkę i zmieniła wyedukowany bieg dziejów.

Z tym też faktem trzeba się dziś liczyć. I Davies liczy się z nim w całej pełni, wychodząc z następujących „geometrycznych pewników”:

a) nie ma sprzecznych interesów, ani zagrożeń terytorialnych między Stanami a Związkiem sowieckim. Przeciwnie łączy ich wspólny wróg, — Japonia.

b) Dobrobyt amerykański, wolnościowe wychowanie anglosaskie zabezpieczają Stany przed komunizmem. Ofiarą komunizmu pa-

(Dokończenie na str. 6-ej.)

* Część pierwsza artykułu w nr. 4 (46).

IGNACY KLESZCZYŃSKI

WŁOSKA DYKTATURA PROLETARIATU

W grudniu spoglądała z kiosków gazeciarskich Rzymu doskonała karykatura. Premier Bonomi — już po szczęśliwym wybrnięciu z tasiemcowego kryzysu rządowego — oczekuje u fryzjera na przycięcie włosów. Usłużny balwierz z nożycami w ręce pyta: „A la Kiereński, czy à la Umberto?”

Ten dowcip karykaturzysty z „Cantachiarą”, doskonały w rysunku, był jeszcze doskonalszy w ujęciu rzeczywistości włoskiej.

Trochę historii

Dla zobrazowania wewnętrznych wstrząsów włoskich proszę sobie przypomnieć kilka danych historycznych z rewolucji rosyjskiej. Dzień 12 marca 1917 r. wstrząsa posadami carskiej Rosji. Mikołaj abdykuje. Góra Dumi przewiduje rozwiązanie w nowych ludziach, których wciska w fotele ministerialne, ufając, że to wstrzyma rozpaloną lawę rewolucyjną. Ukazem carskim jeszcze mianowany nocą z 15 na 16 marca ksiądz Lwow staje na czele Rządu Tymczasowego. Ten Rząd Tymczasowy, szybko uznany przez Francję i Anglię, oczekujące podjęcia nowych kroków ofensywnych, które dopiero w czerwcu rozpocznie Kiereński w Małopolsce, — przechodzi przez największe trudności. Wewnątrz ścierają się ze sobą październikowcy, zbliżeni do tych warstw, które z carem odeszły, — z kadetami, zbliżonymi do ziemstw i mieszczaństwa. Z kolei w łonie radykalnej lewicy ścierają się socjal-rewolucjoniści lewi z prawymi, bolszewicy z mieńszewikami. Ponad tym Rządem Tymczasowym — jest rada delegatów robotniczych i żołnierskich Czechów, która mu dyktuje swoją wolę. Rząd Tymczasowy stara się uchwycić zapoczątkowaną rewolucję, gwałtowne przemiany ustroju i formy rządów i równoległe z nimi idące daleko ważniejsze, daleko głębsze, społeczne i gospodarcze. Bronią się jeszcze liberałowie rosyjscy, atakują radykałowie bez planu taktycznego, a ponad tym i poniżej tego przez ulice przewala się rewolucja, która niesie początkową anarchię, o nieokreślonym jeszcze kierunku.

Rząd Tymczasowy jest naprawdę tymczasowy. Ostatni powiernik carski musi odejść, przychodzi radykał Kiereński, który podejmuje dyktaturę, by ratować jako tako istniejące jeszcze żołyso urzędów tamtego świata carskiego, urzędów Dumi i ministerialnych foteli. Radykał wprowadza dyktaturę i będzie musiał walczyć z kontrrewolucyjną grupą dawnych carskich oficerów oraz z rewolucyjną anarchią.

W początkach listopada rewolucję opanowali ci, którzy stawiali najskrajniejsze hasła, ci, którzy zasadniczym ciecim rewolucji agrarnej przeobrażali autokratyczną Rosję w Rosję proletariatu — bolszewicy. Z miejsca ogłosili wszystkie najtajniejsze traktaty Rosji, wywalili na światło dzienne najskrytsze archiwa. I warto wspomnieć, że ogłosili też korespondencję poufną z wiosny 1916 r. i z marca 1917 r. ministrów spraw zagranicznych, Sazonowa i Pokrowskiego z posłem rosyjskim w Paryżu, Lwowem. W korespondencji tej niedawnego przymierza angielsko-francusko-rosyjskiego — cóż za aktualność w okresie Konferencji Trzech — była mowa o „wyłączeniu sprawy polskiej z dziedziny międzynarodowej”. Więcej, była w nich mowa o odpowiedzialności dla Rosji gwarancji, zapewnianych jej wyłączną „strefą wpływów”, do której nikt nie ma prawa wglądać. Rozpadająca się carska Rosja tak oto grę prowadziła z sojusznikami, którym car był potrzebny do pobicia państw centralnych.

Ale są to analogie, które nie wiążą się w tej chwili z Włochami, przechodzącymi wstrząsy rewolucyjne. Oczywiście, każda wojna sama w sobie jest już rewolucją pojęć, prawa, życia gospodarczego, czy nawet zasad etycznych. Ale wojna i jej losy we Włoszech, to nie tylko rewolucja w tym znaczeniu powszechnym i to nie tylko rewolucja pałacowa, nie tylko polityczna i gospodarcza, gład i nędy niosąca. Wojna we Włoszech to zażamanie się podstawy 20-letniej życia prawnego, społecznego, gospodarczego i politycznego. Zażamanie się systemu, który głęboko wszedł w krew Włoch, który miał swoje ziemstwa, swoich książąt, swój sztab generalny, swoją gwardię i swoją Dumę.

Dwie rewolucje

Marzec 1917 r. i listopad 1917 r. w Rosji przypomnieć muszą rok 1944 we Włoszech. Kłęska faszystów rozpoczęła się znacznie wcześniej, tak jak przewrót w Rosji nie zaczął się radą marynarzy i robotników, a tkwił w podstawach. Rewolucję w Rosji i rewolucję na półwyspie Apenińskim przyniosła wojna. Zwycięska czy przegrana, byłaby zawsze w swej końcowej fazie taka sama. Zwycięska wyrzuciłaby nowych wielkich wodzów. Przegrana od chwili złamania potęgi Grazianiego przez Wavella w Bardii w r. 1941 — zbliżała wstrząsy, które każda wojna niesie nawet ustrojom elastycznym, a więc posiadającym ujęcie dla nowych prądów i w życiu i zasadach, t. zw. ustroju demokratycznym, a co dopiero dla totalistycznego uchwytu stalowych pierścieni, obejmujących faszystowskie Włochy.

System pierścieni nie był tylko frazesem publicystycznym. Zamek prywatny Mussoliniego w Rocca della Caminate, stary, z XII wieku z murkiem i fosą, z wieżą, która świeciła jak latarnia morska na 60 kilometrów, z przepięknym widokiem na góry i na okolice, — otoczony był wieżami strażniczymi jak wie-

zienie, wieżami, odległymi od siebie każda o 50 metrów. U nas przed Belwederem stała warta, w Londynie przed pałacem królewskim stoi straż, ale nikt nie myślał ani nie myśli stawiać bunkrów przed własnymi współobywatelami. Oto ustrój włoski, niemiecki, oto każdy ustrój totalitarny. I pewnego dnia zabrakło strażników, właścicieli zamku zwiast, armie poszły na budowę dróg do Ameryki, do Indii czy Afryki Południowej. Zardzewiały, rozsypany się, a z nimi przepadały całe organizacje korporacjonizmu gospodarczego, misterne budowle ekonomiczne, administracja.

Droga rewolucji, raz poczęta, idzie, toczy się, trzymana w uchwycie potrzeb sojuszników, ograniczona tymi samymi warunkami komunikacyjnymi, które utrudniają życie włoskie. Te same odległości, te same drogi bez mostów, zerwane szyny kolejowe, spalone wagony, zarabowane samochody, zerwane druty i zbombardowane elektrownie — utrudniają jej rozmach, zasięg, siłę eksplozji, rozładują jej wołnymi kłębami, zamiast strzelać wysokim, burzliwym szupem. Stąd wrzenie rewolucyjne bez dawnych barykad, a na gruzach faszystów nie wybucha burzliwym płomieniem, jak w Rosji w r. 1917, ale jest nieprzerwane w trwaniu procesu. Padają pojedyncze strzały na ulicach miast włoskich, lokalne zaburzenia nie pochłaniają więcej niż kilkanaście ofiar śmiertelnych, codzienne demonstracje na ulicach i placach Rzymu docierają pod ten czy ów urząd, chroniony przez konnych karabinierów, ograniczają się do barwnych napisów: „My chcemy chleba”, do strajków, do wybijania szyb sklepów spożywczych, do niszczenia składów mąki.

I to jest to wrzenie rewolucyjne, wewnętrzne niejako, zupełnie zrozumiałe prawo akcji i reakcji po dyktaturze faszystów. To wrzenie idzie żołykiem wysiłku normalizacyjnego, wysiłku, który, jak niegdyś ksiądz Lwow w rządzie tymczasowym, tak marszałek Badoglio podjął po stronie sojuszników. Bo sojusznicy wnieśli ze sobą nową formę rządu. I tak jak ksiądz Lwow był przed rewolucją reprezentantem fikcyjnego parlamentu wobec wszechwładnej monarchii, tak rzecznikiem bezsilnej monarchii wobec wszechwładnej dyktatury faszystowskiej był marsz. Badoglio. I tak jak ksiądz Lwow i jego rząd tymczasowy po rewolucji, marsz. Badoglio był tym rozwiązaniem personalnym, które miało ratować przeszłość i wiązać ją z przyszłością. Ale pod nim burzliwie kłębiły się ruchy dołów. Komitet Wyzwolenia Narodowego, jako jedyna faktyczna władza Włoch demokratycznych, Włoch antysojuszniczych — musiał wskazać właściwą siłę. I wtedy na widownię wszedł nowy człowiek, człowiek Włoch z okresu po tamtej wojnie światowej, znacznie bardziej na lewo stojący od marsz. Badoglio. Wszedł Bonomi. Ten właśnie Bonomi, którego kryzys gabinetu, trwający szereg długich dni, — określił Kiereńskim rewolucji włoskiej.

Życie codzienne niweczy dawne zasady gospodarcze, niweczy zasady ideowe wychowania totalitarnego, przekreśla z całą namietnością wywołanych, a tak długo więzionych tłumów — wszystko, co było oznaką dawnych Włoch. Proces zrozumiały i naturalny.

Ale jest jeszcze rewolucja druga, która idzie równoległe z postępiami rosyjskiej armii w Europie. Komunizm sowiecki, wkraczający do Europy jako jej oswobodziciel, największy demokracja, zbawiciel ludzkości omal, — maszeruje zastępami w stal zakutych ludów od Wołgi po Mongołów spod Irkucka. Czy niesie ona na swojej tarczy prawdziwą ideologię komunistyczną, ideologię rewolucji wszechświatowej, która przez lat dwadzieścia budziła się cichymi płomieniami w krajach europejskich, wybuchając odświętnie fajerkami hiszpańskiej wojny domowej? Dziś już nie musi działać z ukrycia. Dziś ma wielkie pole do działania, ma ochronę, ma swoje zwycięskie wojska, których ciężar dyktuje warunki. Komunizm, działający siłą dynamiczną swojej ideologii, po rozrobieniu go z carskim szlakiem wielkiej Rosji — nie jest bezbronnym, słabym, uciskany proletariatem. Jest mocnym, twardym sołdatem, uzbrojonym najnowocześnie i bijącym niezwykłego jak dotąd żołnierza niemieckiego.

Dwie te rewolucje: wewnętrzna, jako reakcja na ustrój totalny, i zewnętrzna, wkraczająca w całą Europę i bijąca również we Włochy, — spotkały się już ze sobą, zetknęły, choć je przedziela jeszcze cienka ścianka brytyjskiej strefy wpływów we Włoszech, tak jak je przedziela płonącym jeszcze przepiezeniem w Grecji.

Jak się to spotkanie odbywa? Oto zagadnienie. Czy wewnętrzna rewolucja sama w sobie dokona przemian, dla siebie koniecznych, przeorze do głębi włoskie życie polityczne, społeczne i gospodarcze i obejmie się bez tej z zewnątrz?

Kto jest październikowcem, a kto jest kadetem w układzie stosunków politycznych włoskich w kiereńszczynie Bonomiego? Czy rząd chrześcijańskich demokratów i komunistów jest już rządem proletariatu włoskiego? Oto pytania, na które odpowiedź dać może przebieg krzywej kryzysu włoskiego, dziwnie wiążący się w czasie ze znanymi wypadkami w Atenach.

Lewica i prawica

W czerwcu 1944 r. na skutek zamachu stanu powstał gabinet Bonomiego, złożony z sześciu partii politycznych, a to: komunistów,

socjalistów, chrześcijańskich demokratów, partii czynu, liberałów i demokratycznej partii pracy. Partie te stanowiły Komitet Wyzwolenia Narodowego, a więc były partiami niepodległościowymi niejako, walczącymi z podwójną okupacją: niemiecką i faszystowską. Z tych sześciu podstawowych partii, w tym trzech naprawdę masowych i posiadających rzeczywiste wpływy w bezwyborczym okresie, — zostały w nowym gabinecie grudniowym Bonomiego tylko dwie... — komuniści i chrześcijańscy demokraci. Małżeństwo dość dziwaczne, kremlowsko-watykańskie.

Kryzys, który do tego doprowadził, nie był bynajmniej zwykłym kryzysem gabinetowym, którego przyczyną może być zbyt wielka ilość futer mażonki pana premiera, czy konkretniejszy jeszcze inny typ łapówki. Nie. Przyczyny te, znacznie głębiej sięgające, są w życiu włoskim normalnym przejawem rozwoju rewolucji pofaszystowskiej.

Premier Bonomi, obejmując dziedzictwo po marsz. Badoglio, przejął z nim zarazem podstawowe wiązanie z przeszłością w formie ustroju monarchicznego. Po rezygnacji króla władzę objął ksiądz Umberto, następca tronu, i na razie sprawę reformy ustroju zawieszono. Ale nie została ona zawieszona w nurcie podziemnym.

Bonomi podjął wysiłek niesienia większej współpracy po stronie Sprzymierzonych w celu wyzwolenia północnych Włoch, w których urzęduje Mussolini wraz z Gestapo po utworzeniu Republikańskiego Rządu Faszystowskiego. Bonomi ostro rozpoczął rozgrywkę, oczyszczając życie włoskie od nalożonych faszystowskich, od urzędników, utrzymujących się jeszcze często na wysokich stanowiskach, ratujących się koligacjami arystokratycznymi, sięgającymi samej dynastii. Słowem, obecny premier odbudował materialnie i moralnie Włochy. Frazes piękny i wielki, ale nadużywały.

Ale obok tych programów istniała rzeczywistość nie tylko czarnego rynku i paskarzy, nie tylko nędzy i prostytucji, nie tylko problemu soli, przy którym wypomniano rządowi posiadane do dyspozycji samoloty, ale i zasadnicza sprawa łączenia demokratycznych haseł z koniecznością chwili, nakazującą jednosc wszystkich partii. Nie trzeba dodawać, że gabinet czerwcowy sześciu partii huśtał się między wszystkimi zagadnieniami, pchany raz przez lewicę, raz przez prawicę tego demokratycznego rządu, nie mówiąc już o tym, że w tej huśtawce nie miała rolę odgrywał Komisarjat sojusznicy i następca tronu, ksiądz Umberto. Mimo tej taktycznej huśtawki październikowców i kadetów, Bonomi, — trzeba to przyznać, — zrobił wiele. Wniósł rzeczywistość włoską z członka osi na niemałe miejsce w życiu międzynarodowym, zapoczątkował nowe stosunki dyplomatyczne, przeprowadził uznanie rządu, stopniowo uzyskał łagodniejszą formę kontroli sojuszników w kraju, bądź co bądź, okupowanym i do niedawna wrogi, ustabilizował walutę włoską i zaczął organizować siły wojskowe. Oczywiście, pod względem gospodarczym nie mógł rozwiązać wszystkich problemów, które były bardziej skomplikowane, niż to się wydaje.

Ale na tych owocnych osiągnięciach kończy się właściwie zgodna współpraca sześciu partii gabinetu czerwcowego. Już oczyszczanie Włoch z elementu faszystowskiego okazało się kością niezgody w łonie gabinetu, w każdym razie problemem bardziej skomplikowanym od stosowania w innych państwach metod obozów koncentracyjnych dla przeciwników. Bo demokracja to już jest pewna myśl, to już jest pewien nakaz rozsądku i rozumu. Istnienie tego rozsądku musiało wywoływać różnicę zdań, dyskusje. A więc lewica żądała jak najwyższego porachunku z faszystami, faszystami i w ogóle z wrogami demokracji. Ale już centrum chrześcijańsko-demokratyczne i liberałowie ochładzali zapal młodej rewolucji, wsadzając przeciwników do popularnego więzienia rzymskiego, Regina Coeli, „królowa nieba”, która według „Głosu Republikańskiego” była królową piekła dla więźniów, gorzej traktowanych od więźniów politycznych, przebywających pod opieką sojuszników. Dwie te partie widziały w zbyt gwałtownym kursie sanacyjnym niebezpieczeństwo dla całości wiązań państwowych.

W tej sytuacji wywiad, udzielony przez Scoccimaro, spowodował dymisję ministrów i nową wielką rozprawę opinii publicznej, która w strefie wpływów angielskich nie jest bynajmniej tamowana. Metody więc postępowania wobec faszystów i pseudo-faszystów — były w gruncie rzeczy przyczyną listopadowego zażamania się rządu sześciu partii.

To była przyczyna bezpośrednia. Ale był obok tego szereg problemów, wiążących się już z fundamentem państwa włoskiego, z jego ustrojem, a nie z taktyką postępowania. A więc komuniści i socjaliści twierdzili, że dawne państwo włoskie przestało istnieć. Umarło i koniec. Cały balast przeszłości wyrzucono, spalono wraz z archiwami i tajnymi dokumentami, jak w rewolucji bolszewickiej w Rosji. Komitet Wyzwolenia Narodowego jest jedyną siłą, reprezentującą życie włoskie, i jako takiemu należy mu udzielić wszelkiego poparcia i mocy prawnej. Ale już chrześcijańska demokracja i liberałowie wysunęli swoje „ale”, podkreślając, że wprawdzie wszystko „czarno-koszulowe” zostało spalone i wino było być spalone, ale przecież życie państwa winno się opierać na dawnym, tworzyć historyczną całość rozwojową. W swojej odezwie po dymisji gabinetu liberałowie stwierdzili, że właśnie zmonopolizowanie przez

Komitet Wyzwolenia Narodowego władzy jest sprzeczne z demokracją, zaś odwoływanie się komunistów i socjalistów do mas i krytykowanie rządu jest tylko ekscytowaniem: tłumów w dążeniu do przejęcia władzy dyktatorskiej wyłącznie dla siebie. Z kolei komuniści i socjaliści odpowiedzieli, że właśnie krytyka rządu jest zjawiskiem, wywołanym podnoszeniem głowy przez reakcyjne czynniki społeczeństwa, milczenie zaś byłoby wyrażeniem zgody na tę hydrę reakcyjną.

Wreszcie socjaliści zaatakowali Bonomiego za opieszałość w stosunku do Sojuszników Komisji Kontrolnej, więcej, socjaliści żądali, by ogłoszono tajne warunki zawieszenia broni z sojusznikami. I ta właśnie dyskusja, wzniecona przez socjalistów, zajęła wszystkie czołowe strony dzienników włoskich w kraju okupowanym, w zachodniej strefie wpływów! Opinia włoska przy pomocy swojej prasy posiada na tyle wolności, że ma możność swobodnego wypowiadania się wobec „okupanta”.

„Sprawa hr. Sforzy — sprawa Włoch”

Pierwsze dwa dni po dymisji rządu odsunęły na szary koniec wszelkie sprawy faszystów, kolaborantów, konstytucji, komitetu i czołowiek jeszcze czego. Jedna pochłonęła wszystkich od komunistów do partii czynu. Veto min. Edena co do hr. Sforzy jako ministra spraw zagranicznych i wypowiedzenie się Anglii słowami Edena w sprawie kolonii włoskich. Włosi zareagowali namietnie, gorąco, jednomyślnie. Ci, którzy się między sobą ustawicznie sprzecali, — w tej sprawie uderzyli jednym szeregiem, mocnym, omal „passo romano”, którym wojska włoskie defilowały w Rzymie przed dyktatorem.

Włosi dyskutowali namietnie i namietnie gestykulowali. Całe społeczeństwo było rozpalone.

Ogólnie wyrażano żal, że niefortunna — ich zdaniem — deklaracja min. Edena została wypowiedziana w czasie, kiedy włoskie oddziały rozpoczęły działania na frontach i kiedy włoscy patrioci rozpoczynają drugą, ciężką zimę tej wojny. I tak komunistyczna „Unita” zapewniała, że dyskusja w Izbie Gmin była nie tylko sprawą Sforzy, ale była sprawą Włoch. „Unita” dopomina się konieczności zjednoczenia wszystkich sił antyfaszystowskich w dążeniu do całkowitej niepodległości.

Socjalistyczne „Avanti” zgodziło się z tym, że teoria brytyjskiego ministra jest nieodparta z punktu widzenia, że Włochy były krajem nieprzyjacielskim. Niemniej teoria ta jest nie do przyjęcia wobec Włoch, których partie, ludzie i siły spontanicznie przyłączyły się do zasad demokratycznych na długo przed zawieszeniem broni. Sam szef partii socjalistycznej, Nenni, zabrał głos, pisząc: „Każdy angielski obywatel musi się zgodzić z nami, że były V i VIII Armii były tak bezpieczne, że nie trzeba było stosować zręcznych środków ostrożności i że Anglicy i Amerykanie nagle znaleźli przy swoim boku całą ludność i polityczne siły, które opierały się faszystom przez lat dwadzieścia, i wreszcie, że lud włoski domaga się tylko walki i pracy w wojnie, która dla nas jest wojną o wyzwolenie”. Stwierdzając, że Sforza po swoim powrocie do Włoch miał prawo zmienić politykę, biorąc pod uwagę fakt, że król i Badoglio byli tymi, którzy hamowali odbudowę demokracji w kraju, Nenni utrzymuje, że angielska polityka jest w Europie ostoją ludzi, którzy nie są demokratami. Brytyjska polityka popiera Bonomiego, który obecnie jest przeciwnikiem Komitetu Wyzwolenia Narodowego, chociaż w czerwcu, kiedy był w zgodzie z nim, przeciwstawiała się mu. W konkluzji socjaliści twierdzą: „W roku 1919 angielscy konserwatyści i niektórzy z amerykańskich pomyślił się w swojej europejskiej polityce, bo otwarcie stwierdzono, że Włochy są pobitym państwem. Znaczący to w konsekwencji, że włoscy patrioci zostaliby ostrzeżeni, że przejdą spod jednej okupacji wojskowej pod drugą, a nie z okupacji do wolności. „Jeśli raz ta pozycja będzie wyjaśniona, to wtedy będziemy i winniśmy domagać się odpowiedzi, czy warunki klęski oznaczają specjalną polityczną, międzynarodowy rząd, kwilingski twór, czy raczej Włochy winne mieć prawo i wolność decydowania o własnym przeznaczeniu. Możemy być złamani, pobici, podzieleni, ale nie upokorzeni. Dzień, w którym przylibyśmy upokorzenie, będzie dniem, w którym nasze zadanie zostałoby skończone” — kończy dziennik.

W jednym szeregu z tymi głosami całego wachlarza partii wolnościowych Włoch stała monarchistyczna „Italia Nuova”, która również zaatakowała przemówienie Edena, stwierdzając, że wywołuje ono wrażenie łączenia dwóch rozmaitych pojęć: tego o stronie współwzajemnej i tego o okrucieństwie.

Sprawa Sforzy wykazała, do jakiej granicy może istnieć rozbieżność między np. komunistami a liberałami w sprawach włoskich. W żadnym wypadku nie może ona przekraczać poszanowania praw wewnętrznego życia włoskiego, poszanowania dla demokratycznych praw narodu włoskiego, jak i dla całości ziem włoskich. Dziwna rzecz, ale pod tym względem partie nawet o programie rewolucyjnym chcą wiązać z nowoczesnymi Włochami te zyski terytorialne, które przysporzone zostały Włochom po zeszelej wojnie światowej, a kto wie, może nawet te, które zdobył dla faszystowskiego imperium Mussolini.

(Dokończenie na str. 6-ej.)

Patriotyczne malarstwo, poświęcone Warszawie, narodziło się podczas dni narodowego powstania w r. 1794. Bezczelnie wprost są rysunki, związane z tym powstaniem, Jana Piotra Norblina, którego, chociaż był Francuzem, włączyła się do historii malarstwa polskiego, bo przecież przebywał w Polsce tyle lat i stał się twórcą kierunku w malarstwie polskim, opartego na bezpośredniej obserwacji rzeczywistości. Na bezpośredniej obserwacji rzeczywistości. Na bezpośredniej obserwacji rzeczywistości. Na bezpośredniej obserwacji rzeczywistości.

Również siedemnastoletni wówczas uczeń Norblina, wybitniejszy od swego mistrza Aleksander Orłowski, szkicował sceny, które



ALEKSANDER ORŁOWSKI: Powstanie w Warszawie 17 kwietnia 1794 r. Walka na Krakowskim Przedmieściu

rych był świadkiem w Warszawie w pamiętnym roku 1794. Do najlepiej znanych z tych szkiców Orłowskiego należą rysunki piórkiem „Walka na Krakowskim Przedmieściu dn. 17 kwietnia”, przechowana w Muzeum Mieczysławskich w Poznaniu, „Szturm Pragi” oraz „Rzeź Pragi”. I chociaż Orłowski osiem lat później wyemigrował do Petersburga, gdzie osiągnął międzynarodową sławę jako karykaturzysta i malarz koni, te najwcześniejsze jego prace, zainspirowane prawdziwym uczuciem i głębokim przejęciem się, należą do jego najbardziej wartościowych utworów.

Odrębna w charakterze jest prymitywna w rysunku, lecz pełna ekspresji „Rzeź Pragi”, wykonana pod wrażeniem chwili przez artystę-amatora, niejakiego księdza Czapelskiego, który później został zesłany na Sybir. Ekspres-

IRENA PIOTROWSKA

WALKA WARSZAWY O WOLNOŚĆ I NIEPODLEGŁOŚĆ W MALARSTWIE POLSKIM *)

Warszawy, oraz Jan Feliks Piwarski, czołowy warszawski malarz rodzajowy tej epoki, stworzył szereg obrazów olejnych, przedstawiających walki na ulicach Warszawy w latach 1830—31.

Powstanie Styczniowe z r. 1863 oraz manifestacje patriotyczne w Warszawie, które poprzedziły powstanie i spowodowały krwawe

dykował: „Pamięci zabitych i rannych na ulicach Warszawy i wiecznej hańbie ich morderców, 27. lutego do 8. kwietnia 1861 r.”. „Nie ma w nich może historii Polski, — powiedział jeden z pierwszych biografów Grottgera, Tarnowski, — ale jest historia wszystkich polskich rodzin, wszystkich serc, schwyconą w najboleśniejszych chwilach”.

„Warszawa” dotarła do Polski jeszcze przed końcem 1861 r. i za pomocą reprodukcji natychmiast rozeszła się po całym kraju. Głęboko wstrząsnęła całym narodem prawdziwością wizji artysty, szczerością wyrazu i głębią uczucia. Składa się na „Warszawę” siedem rysunków: „Trzy stany”, „Żydzi”, „Bógosławieństwo”, „Pierwsza ofiara”, „Wdowa”, „Lud w kościele” i „Zamknięcie kościołów”.



ARTUR GROTTER: Warszawa. Pierwsza ofiara (1861 r.)

W r. 1862 Grottger wykonał drugą serię kartonów, upamiętniających bohaterstwo Warszawy. Ta seria, nazwana „Warszawa II”, nigdy do Polski nie dotarła, bo została natychmiast nabyta przez Anglika, bawieckiego we Wiedniu. Nieznana w Polsce przez długi czas, odnaleziono ją dopiero dwadzieścia lat temu w Victoria i Albert Museum w Londynie. Chociaż drugie to wydanie „Warszawy” powstało w kilka miesięcy po pierwszym, wykazuje ono znaczny postęp w rozwoju talentu młodego artysty. Nowe kompozycje są prostsze w rysunku i bardziej monumentalne. Cykle

przeoiła swe prace tym samym lirycznym nastrojem, jaki przenika dzieła Grottgera. Dowodem tego są „Rewizja” Władysława Bakałowicza, „Sąd Murawiewa” Michała Andriollego i tegoż artysty „Spowiedź Zygmunta Sierakowskiego”, „Spowiednik skazanych” Franciszka Struśka, oraz tegoż artysty „Pożegnanie skazańców”. Do tej samej grupy obrazów należy jeszcze „Nowy towarzysz więzienny” Antoniego Kozakiewicza.

Pod silnym wpływem Grottgera pozostawał także o osiemnaście lat od niego młodszy Jacek Malczewski, szczególnie w pierwszym

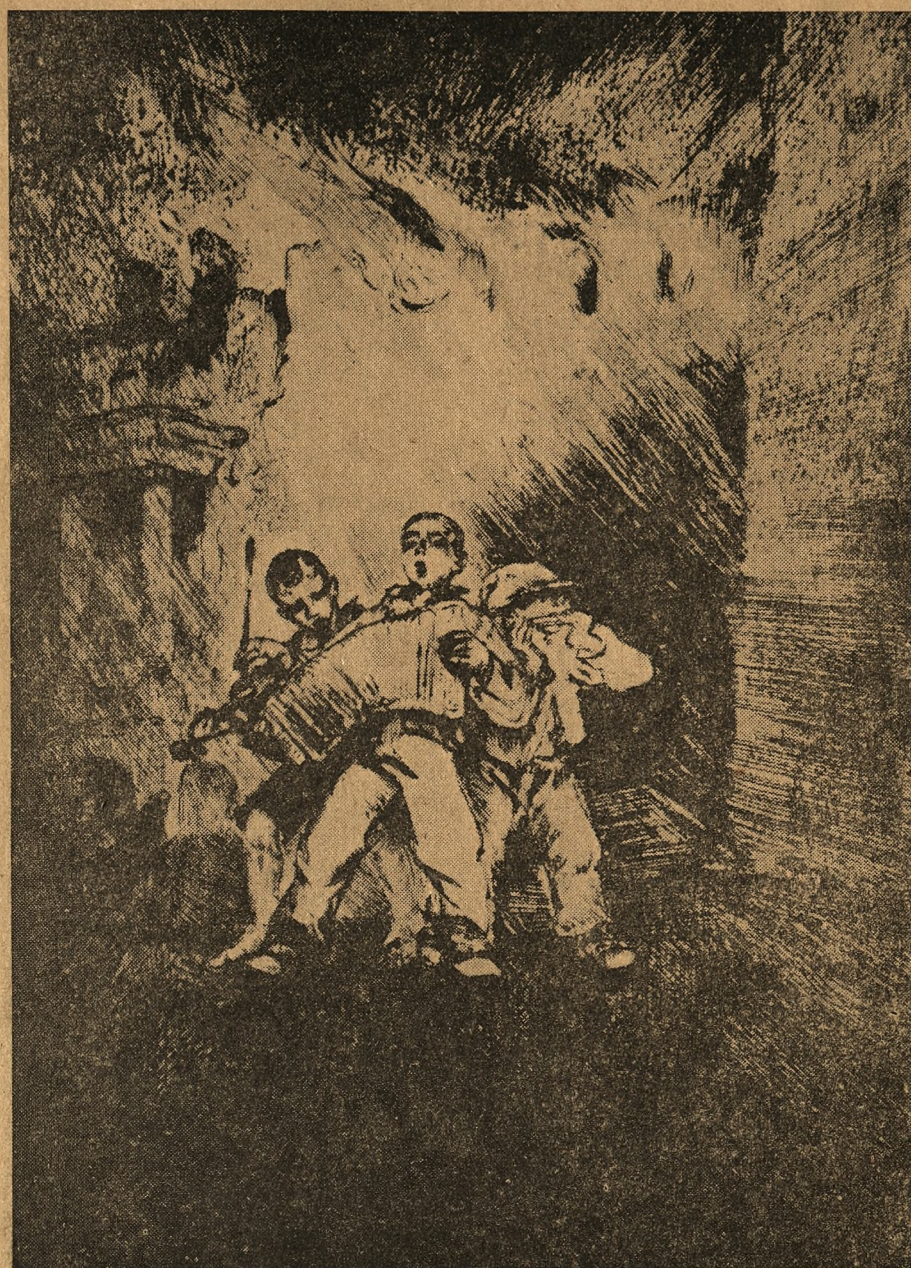
„Polonia”, „Litwania” i „Wojna”, które artysta tworzył kolejno, zanim śmierć go zaskoczyła, są dowodem dalszego postępu artystycznego Grottgera. Wyczerpany nędzą i pracą, Grottger umiera w trzydziestym roku życia, w chwili gdy jego styl indywidualny począł się na dobre krystalizować. Niemniej wpływ jego twórczości na współczesne malarstwo polskie był silniejszy, aniżeli na ogół zdajemy sobie z tego sprawę.

Grupa jego rówieśników, poświęcając szereg płócien Warszawie z lat sześćdziesiątych,

dzających brankę”.

Juliusz Kossak miał olbrzymi wpływ na wielu młodszych realistów polskich, przede wszystkim na syna swego Wojciecha, jak o tym świadczy „Śmierć generała Sowińskiego na Woli w r. 1831”. Do licznych następów Juliusza Kossaka należał także Antoni Piotrowski. Niemniej w jego „Rozstrzelaniu skazańców w cytadeli warszawskiej”, znajdującym się w Polskim Muzeum Narodowym w Rapperswilu, łatwo odkryć silne oddziały twórczości Grottgera.

Powstanie warszawskie w r. 1905 znalazło wiernego odwzorów w osobie wybitnego ilustratora, Antoniego Kamińskiego. I w jego pracach brzmi nuta grottgerowska. Nadszła one wykonane, podobnie jak „Warszawa” i in-



MARIAN GŁĘB-KRATOCHWIL: „Warszawianka” (1939 r.)

blina i przede wszystkim Orłowskiego. Głównym przedstawicielem tego kierunku był Juliusz Kossak, o kilkanaście lat starszy od Grottgera i Matejki. Podobnie jak Orłowski, Kossak nie interesował się nastrojem obrazu, jeno odtwarzał życie i ruch. Od r. 1862 do 68 był kierownikiem artystycznym warszawskiego „Tygodnika Ilustrowanego” i dostarczał temu piśmie liczne rysunki, przedstawiające sceny, które widział na ulicach Warszawy. Reprodukowano je następnie za pomocą drzeworytów. Kilka oryginałów do tych reprodukcji zachowało się w zbiorach polskich do początków obecnej wojny, między innymi rysunek, przedstawiający „Kozaków, prowa-

ne cykle Grottgera, kredką na kartonach. Najbardziej znane z tych rysunków są: „Wymarłe miasto”, „Trybun uliczny”, „Wiec dzieci” i „Brauningi”.

Olejny obraz „Ks. Skorupka” Jana Henryka Rosena, obecnie osiadłego w Waszyngtonie, przenosi nas w okres walk w obronie Warszawy w r. 1920.

W czasie dwudziestolecia niepodległej Polski wciąż jeszcze artyści polscy poświęcali dużo prac walce Warszawy o wolność i niepodległość w czasach porzobiorowych. Pracowicie opracowane te płótna, na ogół o dużych wymiarach, posiadają przeważnie styl konserwatywny, nawiązujący do stylu realistów

polskich z końca ubiegłego stulecia. Ten temu malarstwu nadawał, wspomniany już poprzednio, a wciąż jeszcze czynny Wojciech Kossak, zmarły dwa lata temu.

W duchu sztuki nowej pojęty jest piękny drzeworyt Stefana Mrózewskiego, ucznia Skoczyskiego, wykonany dla albumu „Legendy Warszawy”, wydanego na rok przed inwazją nie-



J. P. NORBLIN: Walka na ul. Miodowej (1794 r.)

miecką. Drzeworyt, zatytułowany „Przestroga”, ukazuje syrenę warszawską, wywołującą się o pomocy z wód Wisły i wydającą okrzyk przestrogi, skierowanej przeciw tym, którzy osmielili się zaatakować Warszawę. Głosem syreny zbudzony ze swego zaumiania na wysokiej kolumnie, król Zygmunt wznosi swój miecz wysoko ponad głowę.

Z wojną dzisiejszą rozpoczął się nowy okres w rozwoju polskiego malarstwa na temat bohaterstwa Warszawy. Oczywiście przytoczyć tu mogę tylko prace artystów polskich, przebywających na obczyźnie, a więc głównie uchodźców i członków Polskich Sił Zbrojnych. W większości prace tych artystów nie stano-

dziane, na zawsze pozostają w pamięci.

Do młodych, a wiele obiecujących artystów-żołnierzy, którzy w swych rysunkach wojennych powracają do tematów, zaczerpniętych z obrony Warszawy w r. 1939, należy przede wszystkim Zdzisław Ruszkowski. Jest on autorem rysunków piórkiem, takich jak „Na froncie warszawskim”, „Na barykadach”, „Dzieci warszawskie”. Inny młody artysta-żołnierz, Tadeusz Kucharski, odwzorował „Ruiny Warszawy”. Z zaś Marian Głęb-Kratochwil przedstawiał w wstrząsający sposób chłopów, śpiewających „Warszawiankę” na tle tych ruin.

Najnowsze powstanie warszawskie, Pow-



ZDZISŁAW CZERMANSKI: Ghetto warszawskie (1940 r.)

wia wielkich obrazów malarskich, lecz składają się z rysunków i szkiców, przedstawiających na gorąco chwytane sceny.

Do nielicznych obrazów olejnych, poświęconych walkom współczesnym o wolność Warszawy, należy piękne, pełne ekspresji płótno, zatytułowane „Warszawa, Wrzesień, r. 1939”, namalowane pięć lat temu przez wybitnego artystę polskiego, osiadłego w Londynie, Henryka Gotliba, pod wrażeniem wieści, nadeszłych z kraju, o zdradzieckim napadzie Niemców na stolicę Polski. Obraz ten jest wykonany w stylu szkoły paryskiej, podobnie jak również ekspresyjny obraz p.t. „Ghetto warszawskie walczą” Zygmunta Menkesa z Nowego Jorku.

Przyszłe pokolenia Polski niewątpliwie wysoko ocenić będą te wszystkie współczesne dokumenty bohaterstwa Warszawy doby dzisiejszej. I niewątpliwie pomiędzy tymi szkicami i rysunkami znajdują się takie, które potomność umieści tuż obok prac Aleksandra Orłowskiego z r. 1794.

NOWY TOM BRONIEWSKIEGO

W najbliższym czasie ukaże się nakładem Wydawnictwa „W Drodze” nowy tom wierszy Władysława Broniewskiego p. t. „Drzewo rozpaczające”. Po tamte „Bagnet na bron”, którego pierwsze wydanie ukazało się w 1943 r. nakładem Wydawnictwa „W Drodze”, drugie wydał Kolin w Londynie w 1944 r., a trzecie jest obecnie w druku, jest to już drugi tom wierszy Broniewskiego z jego dwuletniego pobytu na Środkowym Wschodzie. Wiersze Broniewskiego były szeroko przedrukowywane w prasie polskiej w Anglii, Stanach Zjednoczonych, Kenii, Iraku, Iranie, Indiach oraz w prasie wojskowej.

Broniewski wydał także nakładem Wydawnictwa „W Drodze” obszerny „Wybór poezji” wkrótce zaś ukaże się nakładem Min. W.R. i O.P. w „Skołnej Bibliotece” na Wschodzie” w Jeruzolimie, jego poetka przeobraża „Bajkę” K. Czulkowskiego.

Z tomu „Drzewo rozpaczające” wyjmujemy kilka nie drukowanych dotąd wierszy.

SZCZĘŚCIE

Rozmyślał coraz częściej
o pewnego wieczoru,
że chyba moje szczęście
jest zielonego koloru.

Wiem niech ta zielen we mnie rośnie
i niech mnie zeuszą otoczy

drapieżnie, zachłannie, miłośnie, —
zielen, jak twoje oczy.

Niechaj mi będzie życie
oceanicznym dnem,
gdzie płyną morskie strasydła
o włosach z wodorostów
— zielone! zielone niesamowicie! —
i gdzie wszędzie jest sen.

Przeczytaj tę bajkę, nim uśniesz,
Przeczytaj tę bajkę, nim uśniesz,
jeśli chcesz.

Szczęście? —
to odcień dostać jeden uśmiesz
i zwrócić jeden wiersz.

ANONIM

Jak porno melodii, jak powiewu bzu,
kiedy w Polsce nad Wisłą bzy kwitła,
jak szczęście, płynące jak wiatr i snu
mawiejącą pogodą błękitną,
jak to, czego nie było, jak to, co ma być,
ale jeszcze niepełne i trwające,
jak pierwszy krok, jak pierwszy przydźwięk,
jak powód, co grunie się wód,
jak zielen, rozkładana w miedzi,
jak woda, co brzęgi rucie,
jak falki, co w niebie smigają
po dacie,

jak lot opornego ptaka,
jak szczęście w słowie, —
ona właśnie była we mnie taka
i zacięła ołowiem...

MALARJA

Biją zegary, pieją kopuły,
chiny szumi malarja.
Sni się, że się, szczęściem otruty,
ty idziesz przy mnie, umiera.

„Wiesz ty umierać? Młoda, ratunku!
Nie wiem, czy jest to twojej mocy
oddad mi jeden z tych pocałunków
z tysiąca i jednej nocy.

Zgubiłem serce, dwa gwiazdoszbiory
i dziesięć tysięcy złotych.
(Wiem, że to przez sen, że jestem chory
i we śnie jestem naiwny).

Ty wtedy do mnie twarz swoją anielską
zwracałaś (nie tak, jak umarli)
i nie wiem czemu, lecz po angielsku,
mówiłaś cichutko: „My darling...”

Pieją kopuły, biją zegary
swe niepotrzebne godziny...
Ach! trzeba było snu i malarji
i trzeba było chininy!

*) Odczyt, wygłoszony w Polskim Instytucie Naukowym w Nowym Yorku na wieczorze, urządzonym w hołdzie Warszawie.

Krzywa rozrodczości a przyszłość Europy

II Świat z perspektywy roku 1970^{*)}

Zmiany ilościowe w obrębie poszczególnych roczników są pierwszym objawem starzenia się grupy społecznej. Zmniejszenie urodzin obniża wartość społeczeństwa, a straty tej nie może zrównoważyć przedłużenie wieku człowieka. Dla zilustrowania stosunku Europy do ZSRR, podam w procentach zawarte w omawianej publikacji Ligi Narodów obliczenia, dotyczące lat: 1940 i 1970.

Otóż grupy wiekowe ludności europejskiej na r. 1940 wyglądały następująco. Pierwsze cztery grupy, obejmujące kolejno ludność do czwartego, dziewiątego, czternastego i dwiętnastego roku życia, liczą po około 9% ludności każda, potem grupa roczników 20-24 spada wybitnie (wpływ pierwszej wojny), następnie grupy lat: 25-29, 30-34, liczą coś ponad 8% każda, roczniki 35-39 znamionują pierwsze poważne cofnięcie się, które postępuje względnie harmonijnie, trochę mniej po stronie męskiej niż po stronie kobiecej piramidy, której pierwsza wojna światowa nie dotknęła w tym samym stopniu. W r. 1970 piramida wygląda inaczej. Najniższa grupa nie stanowi nawet 6% całości, dalsze nieco wzrastają i dopiero w rocznikach 30-34 i 35-39 osiągają 8%. Zato wyższe roczniki od 40 lat wzyły się procentowo dużo liczniejsze niż w r. 1940. W ZSRR roczniki najniższe w r. 1940 wynoszą około 14% całości w latach 0-4, 10% — w latach 5-9, 12% — w latach 10-14, trzy grupy 15-19, 20-24 i 25-29 reprezentują ponad 8% całości każda, i dopiero począwszy od następnej grupy pięcioletniej zaznacza się ubytek. W r. 1970 pierwszych sześć grup do 29 roku życia zajmują niewiele powyżej 8% każda. Wszystkie następne grupy wykazują poważne przybytki.

Piramida rosyjska z r. 1970 jest znacznie starsza niż w r. 1940. Przedstawia się ona jednak znacznie korzystniej, niż piramida Europy z r. 1940. Spoczywa jeszcze na szerokiej podstawie, podczas gdy piramida Europy w r. 1970 przypomina kształtem chiński lampion.

Najistotniejsze zmiany, jakie przynoszą te przesunięcia w piramidach ludnościowych, dotyczą ilości mężczyzn pracujących lub stanowiących potencjalnych pracowników. W obliczu nowych doświadczeń granice wieku dla tej grupy ludnościowej sięgają od 15 do 65 lat życia. Z natury rzeczy wszyscy mężczyźni, którzy w r. 1955 znajdą się w tej grupie, już dzisiaj żyją, i wskutek tego moż-

liwości pomyłek są znacznie mniejsze. W r. 1940 na zachód od granicy sowieckiej Europa posiadała 127,7 milionów mężczyzn w tym wieku. Do r. 1955 cyfra ta wzrasta o dalszych 17 milionów, a do r. 1970 o dalszych 2,9 milionów. W praktyce w r. 1965 zaczyna się obniżka tej cyfry. Z tej cyfry zaledwie 2 miliony zyskuje północno-zachodnia i centralna Europa, podczas gdy wschodnia Europa zyskuje 18 milionów. Począwszy od r. 1955 Europa centralna i północno zachodnia zaczynają tracić mężczyzn w wieku lat 15-65. W tym samym czasie ZSRR zyskuje w tej klasie 71% przyrostu, osiągając w r. 1970 84 miliony, podczas gdy w r. 1940 ludność w tej klasie było w ZSRR 19 milionów. Polska i Włochy w tym samym czasie zyskują rekordowe dla Europy cyfry po 4 miliony.

Następne jednak zjawisko, które obserwujemy, to starzenie się tych mas mężczyzn. O ile Europa miała w r. 1940 w grupie mężczyzn od 15 do 34 roku życia 48% w rejonie Europy północno-zachodniej i centralnej, a w Europie wschodniej i południowej — 56%, to w r. 1970 odpowiednie cyfry dla obu rejonów wynoszą 39% i 44% ogółu mężczyzn. ZSRR ma młodsze kadry: w r. 1940 mężczyźni do 34 roku życia stanowili tam 61% ogółu, spadając w r. 1970 do 51% ogółu mężczyzn.

Zmiany te odbijają się na życiu gospodarczym i potencjale wojskowym. Robotnik, pracujący w zakładach przemysłowych Europy, będzie starszy niż dotychczas. Tam, gdzie sprawność fizyczna, spostrzegawczość i szybka reakcja są koniecznym warunkiem przy pracy, tam odczuje się brak odpowiedniego robotnika. Tak samo będzie brakowało młodych pracowników dla nowych gałęzi przemysłu, pracowników, dopiero wkraczających na rynek pracy. Natomiast nie będzie brakowało pracowników tam, gdzie doświadczenie i wyszkolenie odgrywa główną rolę. Ponadto kadry nowych pracowników, które co rocznie wymagają stworzenia dla nich nowych warsztatów pracy, nie będą tak liczne. Wkrótce wskutek starzenia się tempo ubywania pracowników będzie tak duże, że zapotrzebowanie na robotnika wzrośnie. W związku z tym wzrośnie zapotrzebowanie na pracę kobiet w przemyśle i dzisiejszy stan rzeczy w wielu krajach wywołany wojną, ilustruje sytuację, która może w zupełności niedalekiej przyszłości zapanować w Europie na stałe.

W sposób jednak najistotniejszy zmiany w strukturze ludnościowej odbijają się na ilości mężczyzn, nadających się do służby wojskowej. ZSRR w porównaniu do r. 1921, w którym miał 24,6 milionów mężczyzn w wieku od lat 15 do 34, będzie ich posiadał w r. 1970 43,3 milionów. Odpowiednie cyfry niemieckie spadają z 11,1 milionów w r. 1940 na 9,9 w r. 1970, francuskie — z 5,6 na 4,8 milionów. Włochy i Polska mają większy procent roczników wojskowych w r. 1970 w porównaniu z r. 1921; Włochy zamiast 6,7 milionów wojskowych — 7,4 milionów, Polska zamiast 4,5 milionów — 6,3 milionów. Poważnie spadają roczniki wojskowe w Wielkiej Brytanii, bo z 6,7 milionów na 5,6 milionów. W Europie zmienia się wskutek tego kolejność krajów, posiadających najliczniejsze roczniki wojskowe, i na trzecie miejsce po Rosji i Niemczech wychodzą Włochy, a czwarte Polska, na piątą Wielka Brytania, a Francja spada na szóste miejsce. Dodać jednak należy, że te wszystkie cyfry, obliczone na r. 1970, są cyframi opadającymi, gdyż te wszystkie kraje (z wyjątkiem znowu Rosji) mają najwyższe cyfry w ilościach roczników wojskowych w r. 1955.

Być może, że w przyszłości liczba żołnierzy nie będzie posiadała decydującego znaczenia dla oceny siły wojskowej państwa. W czasie tej wojny w momencie bitwy nad Anglią stosunkowo niewielka ilość żołnierzy walczyła skutecznie z ofensywą niemiecką. Niemniej jednak w tej chwili piechota z powrotem wróciła do głosu i kto wie, czy różnica w postępiech ofensywy na różnych frontach nie wynika z tego, że z jednej strony istnieje tendencja do wywalczenia zwycięstwa, płaćc daninę wysiłku i krwi, a z drugiej strony usiłuje się przede wszystkim maszyną zdruzgotać opór nieprzyjaciela. Jeżeli te czynniki siły wojskowej nie ulegną zmianie, to możliwości wojskowe ZSRR wzrosną nieproporcjonalnie.

II

Trudno zanalizować wszystkie aspekty, łączące się z niezaprzeczonym faktem starzenia się Europy. Warto jednak zwrócić uwagę na łączące się z tym zjawiskiem konsekwencje polityczne. Europa była przez długi czas centrum świata. Nie tylko oddziaływała politycznie i gospodarczo na inne kontynenty, ale swoim wpływem narzucała innym narodom drogi wyzwalania się spod tego wpływu. Istnieją oceny, że około r. 1651 ludność Europy wynosiła około jednej piątej ludności całego świata. Stosunek ten trwał mniej więcej do połowy XVIII w. Od tego czasu ludność Europy rosła, aż wreszcie wyniosła wraz z ludnością pochodzenia europejskiego około jednej trzeciej ludności całego świata. Ludność europejskich krajów zamorskich w dużym stopniu do początku XX w. politycznie była ściśle związana z Europą. Od końca XIX wieku obserwujemy pracę wyzwalania się spod jej wpływów państw rasy białej, założonych na

innych kontynentach. Dlatego dziś Europę trzeba traktować oddzielnie, wykluczwszy Rosję. Wypada stwierdzić, że od r. 1910 Europa zaczyna, zwłaszcza wobec gwałtownego wzrostu ludności poza nią, tracić populacyjnie na znaczeniu. W r. 1940 ludność Europy wynosi już tylko 18% zaludnienia świata. Procesy, zachodzące poza Europą i Rosją, mają jeszcze bardziej młodzieńczy wygląd. Dość powiedzieć, że piramida ludnościowa Indii z r. 1931 przypomina do zbudzenia piramidę Anglii i Włoch z r. 1931.

Nie ulega wątpliwości, że procesy populacyjne i rzeczywista wartość populacyjna poszczególnych narodów w Europie w dużej mierze stanowią o roli politycznej, jaką państwa te w ciągu XIX i XX w. odgrywały. Francja Rewolucji i Napoleona to okres najliczniejszych młodych roczników (w porównaniu do innych współczesnych państw) w historii Francji. Wzrost Niemiec także przypada na okres największej prężności populacyjnej, a dzisiejsza klasa Hitlera łączy się znowu ze zmierzchem biologicznej siły narodu niemieckiego. Tak samo prężność populacyjna Anglii, która znalazła inne sposoby jej wykorzystania, dała impet w kierunku tworzenia imperium kolonialnego. Tak samo zresztą było i z innymi narodami, które odegrały rolę w historii kolonizacyjnej świata. Hiszpania, Portugalia a przede wszystkim Holandia w okresie swojej najwyższej działalności handlowo-kolonizacyjnej, w okresie najwyższych wpływów, były narodami stosunkowo (w porównaniu do innych) licznymi. To samo da się powiedzieć o Polsce, której miasta w XVI w. były jednymi z największych w Europie.

Te same procesy, które wysuwały kolejno różne narody europejskie na pierwsze miejsca na arenie dziejowej, a potem spychały je w cień, działały także w stosunku do całej Europy. Prężność Europy w stosunku do reszty świata była rezultatem nie tylko ilości jej ludności. Dzięki wynalazkom i rozwojowi cywilizacji technicznej stworzyła ona warunki dla wzrostu ludności, a daty, wskazujące na kolejne wpływy poszczególnych narodów, pokrywały się z datami przemysłowania się poszczególnych jej krajów.

Prąd, który wyszedł z zachodniej Europy, nie ograniczał się jedynie do strony materialnej przewagi Europy w stosunku do reszty świata. Łączył się z potężnym prądem ideowym. Na tle gospodarczym powstała ideologia praw naturalnych jednostki, praw, dających jednostce stanowisko samodzielne w stosunku do państwa. Europa była centrum organizacji gospodarczej świata, która w pewnej mierze odgrywała rolę uniwersalnej organizacji politycznej.

W tych ramach ideologicznych, politycznych i gospodarczych powstały specyficzne warunki dla rozrostu społeczeństw stosunkowo dotychczas nielicznych w potężne masowe organizacje. Dzisiaj Europa jest jedną z najgęściej zaludnionych części świata. Te masy, ich potrzeby, zagrożenia i podstawom ideologicznym i warunkom technicznym, które umożliwiły ten masowy przyrost naturalny. Dzisiejszy kryzys ideowy i gospodarczy, który wyraził się w dwu kolejnych wojnach światowych, jest najlepszym wyrazem tych przemian i przesunięć.

Młoda Europa sprzed 150 lat potrafiła położyć podwaliny pod światowy system gospodarczy, dać podstawy pod wzrost ludnościowy, stopy życiowej, stworzył nowy system ideologiczny, nawiązujący do najświetniejszych momentów w historii myśli ludzkiej. Europa starzejąca się doszła ideologicznie do totalizmu, zapominała o jednostce, straciła przewodnictwo gospodarcze w świecie.

Zdobycze kulturalne Europy objęły cały prawie świat. Obie Ameryki, części Afryki, Australia, stały się terenami, na których powoli przyjmowały się zasady porządku europejskiego, czasami w stopniu znacznie doskonałym, niż na terenie starego świata. I jakkolwiek te nowe organizacje państwowe dążyły niejednokrotnie do osłabienia wpływów Europy, nie było tendencji zagrożenia systemu europejskiego. Głęboki sentyment do tradycji i urządzeń europejskich pchnął wiele narodów do walki zbrojnej w jej obronie, gdy najgorsi z Europejczyków, Niemcy, zagrozili podstawom kultury europejskiej. Wpływem Europy oparła się Azja. Zeuropeizowanie się Japonii, wpływy myśli zachodnio-europejskiej w Rosji — nie poszły w głąb. Masy liczyły, o starej własnej tradycji kulturalnej, bardzo często zdolnych narodów azjatyckich pozostały obce ideologiom, które wywoływały powrót w Europie. Japończycy nauczyli się budować pancerniki i działa, Rosja poszła w kierunku stworzenia ogromnego przemysłu. Ideologicznie jednak narody Azji, bezpośrednio dzisiaj sąsiadujące z sercem Europy, sięgnęły do swoistych form suwerenności państwa nad jednostką. Ta ideologia na terenie Azji posiada najstarsze i jedyne tradycje. Tragedia Europy polega na tym, że w momencie, gdy ideologie totalitarne pochodzenia europejskiego rozrywają na kształt konwulsji chorobowych jej organizm, powrót do właściwych Europy form ustrojowych, do właściwych filozofii społecznej, utrudnia totalizm pochodzenia nie europejskiego.

Dzisiejsza pozycja Europy wynika stąd, że jej narody ważyły się, jakby były same

na świecie. Skończyły się czasy, gdy parę okrętów wojennych, czy śmiałe eskapady awanturników, czy cywilizacyjna praca misjonarzy zdobywały niemal bez świadomości narodów europejskich kontynenty dla cywilizacji i urządzeń Europy. Wąśnie europejskie i schorzenia doktryn pozbawiły jej narody przewodnictwa duchowego, a wskutek rozwoju wypadków punkty ciężkości przemysłu światowego w ciągu ostatnich lat pięćdziesięciu przeniosły się poza Stary Świat. Dzisiaj Europa znajduje się w niebezpieczeństwie utraty nie przewodnictwa w świecie, gdyż to już należy do przeszłości, ale w niebezpieczeństwie, że ze swoją przeszłością kulturalną nie potrafi się ostać. Dwukrotna wojna zniszczyła wiele jej pomników i osiągnięć i przerzedziła szeregi myślicieli, uczonych, badaczy. Wstrząsnęła urządzeniami państwowymi. Kodeksem prawa europejskiego w najszerszym tego słowa znaczeniu.

Europa jest jednak potrzebna światu, jako kuźnia myśli, jako środowisko, skąd wyszła dzisiejsza cywilizacja, jako spadkobiercy tradycji kultury starożytnej. W Europie, — w warunkach bezpieczeństwa politycznego, — będą istniały najlepsze warunki dla pracy duchowej i materialnej białego człowieka.

Dzisiejszy stan Europy jest jutrzejszym udziałem innych kontynentów. To bowiem dziedzictwo, które Europa przekazała innym rasom, przyniesie ze sobą z kolei to samo co przydarzyło się jej narodom. Dzisiaj ZSRR, mimo, że w przyszłości czekają go jeszcze nieosiągnięte nigdy w historii cyfry ludności, wkroczył już na tę samą drogę co narody Europy. Te same oznaki pojawiają się wszędzie tam, gdzie uprzemysłowienie, ten dzisiaj nieunikniony fundament potęgi i dobrobytu narodów, zapuściło korzenie.

W pewnym politycznym świecie Europa może się ostać, może zachować swoje wartości, rozwiązać problemy techniczne, związane z kurczeniem się siły roboczej, oprzeć się mocniej o własne metody zaopatrywania. Europy jednak już nie stać na luksus rozdarcia wewnętrznego. Musi powstać system europejski, którego siła i równowaga będzie polegała na wewnętrznej równowadze Europy, a nie presji z zewnątrz. Europa dziś potrzebuje swoistej doktryny Monroe, potrzebuje zasad politycznych, które pozwolą jej uniknąć groźby, że zostanie opanowana z zewnątrz, które pozwolą jej kulturować swoje własne metody życia, tak brutalnie zgniecione przez nowoczesne schorzenia, których najtypowszym wyrazem jest hitlerizm.

Rozwiązanie problemu europejskiego jest w interesie przede wszystkim wszystkich tych, którzy znajdują się poza Europą. Narodów, które wywodzą się ze starego świata. Europa potrzebna jest jako łącznik, wiążący w jedną całość kraje zasięgu i kultury białego człowieka. Narody zaś i państwa Azji, a szczególnie ZSRR, powinny mieć interes w tym, by ten rejon, którego zawładnięcie jest kluczem do władzy nad światem, nie stał się narzędziem przeciw nim. Jakkolwiek bowiem wydaje się, że liczba będzie przez długi czas czynnikiem ważnym w wojnach, to jednak przewaga techniczna w dużej mierze będzie równoważyła braki przyrostu ludności. Narody Europy i pochodzenia europejskiego na długie lata przodowały w tym zakresie i nie ma obaw, by nadawet nie wiem jak heroiczne wysiłki jednego pokolenia były w stanie stworzyć atmosferę i zdolności, które dają genialnych inżynierów i organizatorów Zachodu.

Nieodwracalny proces wprowadzi powoli wszystkie narody do ustabilizowania się populacyjnego. Idzie o to, by t. zw. młodość poszczególnych narodów nie stała się powodem do popełniania przez nie w przyszłości tych samych błędów, które popełnili dzisiaj Niemcy, a półtora wieku temu Francuzi.

Włoska dyktatura proletariatu

(Dokończenie ze str. 3-ej)

Tak więc deklaracja Edena zaostreżyła wewnętrzny kryzys włoski w pierwszym jego okresie, bezpośrednio po ustąpieniu gabinetu. I w tym tkwi przyczyna tego, że Anglia i Ameryka po 25 latach musiały ponownie chwycić za broń. Jeśli dokonają one nowej przyszłej pomyłki, będziemy mieli trzecią wojnę za 10 czy za 20 lat od chwili obecnej. Każda wewnętrzna walka o demokrację i przeciw reszkom faszystowskich elementów pomaga w przyspieszeniu końca tej wojny i wyklucza trzecią.

Republikańska „Voce Repubblicana“ w jeszcze bardziej drastyczny sposób ujmuje sprawę Sforzy i rozprawia się z tracaniem się sojuszników w wewnętrzne życie Włoch: „My nie możemy, ani też nie życzymy sobie buntu przeciw brytyjskiemu naciskowi, ale niech nam będzie wolno zapamiętać, że panowie z rządu zostali nominowani przez brytyjski rząd, a nie przez antyfaszystów i naród włoski. Jeżeli Anglia pragnie rządu marionetek w prowadzeniu naszej wewnętrznej polityki, to winna stworzyć go ze służących dworu królewskiego bez niepokojenia antyfaszystowskich Włochów“.

„Italia Libera“, Partii Czynu, stwierdza, że jeśli Włochy miałyby być tak traktowane, jak tego sobie życzy Eden, to byłoby lepiej, Ignacy Kleszczyński

*) Część pierwsza artykułu w nr. 4 (46).

Yankes w krainie czarów

(Dokończenie ze str. 2-ej)

c) Komunizm w Rosji musi zmienić swój charakter.

d) Potęga Rosji będzie wzrastać bez względu na losy jej ustroju. W cieniu tej potęgi małe państwa są „out of the picture“.

e) Niechęć Zachodu do współpracy z Rosją popchnęła Sowiety ku Niemcom. Stanom nie wolno powtórzyć tego błędu, gdy idzie o analogiczną sytuację z Japonią.

f) Jesteśmy zbyt mądrzy, by bawić się w komunizm, nawet gdyby Europa była tak niemądra (i taka biedna), że starałaby się tą zabawą nieco rozweselić po wojnie.

g) Anglii musimy jednak bronić i strzec przed niezdrowymi zjawiskami, gdyż Anglia jest „naszą Czechosłowacją“. Rosja popełniła błąd, nie broniąc w r. 1938 „swojej“ Czechosłowacji przed nazizmem.

Yankes powrócił z „krainy czarów“ i objął poważne stanowisko w Departamencie Stanu. Opisał swe przygody interesująco, niekiedy z naiwnością, która wdziękiem i świeżością konkuruje z Alicją z Wonderlandu.

Tego specyficznego czaru przemysłowca w roli dyplomaty nie posiada film, zrobiony bezceremonialnie, z tendencją, grubymi niemi szyć, traktujący historię Europy niczym dzieje jakiejś filmowej Rurytanii z muzyką Lehara. Nie o angielsko-francuskiej propozycji przymierza z Rosją przeciw Niemcom, nie o dniu 17 września 1939 r.

Za to w procesie moskiewskim siedzą na jednej ławie oskarżeni z trzech procesów (z których jeden w ogóle był tajny), w usta ambasadora polskiego w Moskwie włożono złośliwe zdanie o Rosjanach (epizod, którego nie ma w książce), w zamian za co — dla rekompensaty wobec Polonii amerykańskiej, — Davies wita się serdecznie w r. 1937 z Prezydentem Republiki Polskiej, czcigodnym... Ignacym Paderewskim. (W późniejszych edycjach filmu kompromitującą scenę usunięto). Bzdura. Ale tę bzdurę oglądają miliony ludzi. Inaczej: miliony anglosaskich wyborców.

Po przeczytaniu książki można się oddać przypuszczeniom, że Anglicy nie będą chyba zachwyceni ani „Czechosłowacją“, ani atakami na „reakcjonistów z Chamberlainem na czele“^{*)}.

Po zobaczeniu filmu, wolno się już zastanowić, czy w ogóle warto żyć na świecie, gdy nie ma się grubych dolarów na propagandę, zwalczającą kłamstwo, głupstwo i szantaż moralny.

Zdzisław Broncel

*) Tak Davies nazywa rząd angielski za udzielenie gwarancji Polsce i stworzenie przez to „trudności“ dla układu sowiecko-angielsko-francuskiego.

PORUCZNIK HERBERT

FLYING CONTROL^{*)}

Po chwili zgłasza się pierwszy „Silkbird” i dostaje zezwolenie lądowania. Schodzi z tyśiącą stóp i powtórnie pyta o kierunek, bo jeszcze nie widzi światła wlotowych.

— East-West, — mówi Maria. — East-West, — powtarza bardzo wyraźnie.

Jest opanowana, spokojna. Jej twarz ma wyraz powagi i skupienia. Palce nieomylnie, bez wahania trafiają na właściwe przełączniki: raz, dwa, — odbiór, odpowiedź... Over!

Anielski Lancaster ryczy swymi czterema silnikami nisko ponad mgłą, odchodzi na wschód, cichnie.

— O.K.! Widzę wlot!

Po chwili wesoło:

— O.K., widzę runway!

— Szalenie nas to cieszy, — mruczy Zygmunt. — Ładuj, byku jeden...

„Operation” daje fix drugiego dywizjonu, bardziej z południa. Nowy krzyżyk na celuloidowej płycie. W pół minuty potem zgłaszają się naraz trzy załogi „Silkbird” i nadchodzi fix naszej maszyny, S, jak Stanisław, 28 mil na południowy wschód, nad brzegiem zatoki Wash. Zaczyna się...

Maria podaje wysokość „Silkbird”: 1.000, 2.000 i 3.000 stóp. Znak wywoławczy tego drugiego dywizjonu brytyjskiego brzmi „Topbrown”; naszego — „Bluebottle”, czyli chaber. Łatwo można się pomylić. Wypisuję wyraźnie te trzy nazwy na kartce papieru i kładę przed Marią. Dziękuję mi wzrokiem.

Pierwszy Anglik miją „karawan”, piszczy hamulcami, błyska raz po raz własnym reflektorem w kłębiącej się mgle.

— Runway cleared out!

Wołamy następnego:

— You may pancake!

Trzeci — na 1.000 stóp; czwarty — na 2.000. Słychać jeszcze ich silniki, gdy nadlatują dwa Halifaxy „Topbrown”.

Segment C zapala się na moim biurku. To jeszcze jeden „Silkbird”. Mówi, że leci na trzech silnikach. Trzeba mu dać pierwszeństwo.

— Jak się nazywa? — pyta Zygmunt.

— D, jak Dawid, — mówi Maria. — Ale Barbara już schodzi...

Dawid się denerwuje. Ma 1.500 stóp i traci wysokość. Nie wie, gdzie jest wlot.

— Keep him flying. Pierwsza Barbara. Nie można robić bałaganu. Niech czeka. Daj mu ten wlot, Herbert.

Wołam Dawida, który klnie w ograniczonym pod tym względem języku Shakespeare’a, tłumacząc, skąd ma podchodzić, żeby trafić na wlot, i — że ma czekać.

Tymczasem Barbara podeszła za wysoko i nie starczy jej lotniska. Oficer startowy wrzeszczy:

— Każcie im dodać gazu!!

Sierżant Maria nieomylnie przełącza się na segment B, ostrzega wyraźnie, równym głosem:

— B for Barbara, B for Barbara, you are too long.

Słychać gwałtowny ryk silników; za szybami w mroku przelatuje lewe zielone światło pozycyjne na skrzydło i białe na ogonie Barbary. Przez szyby na lewo widać, jak płyną, oddalają się, wznoszą się coraz wyżej, giną we mgle.

Dawid nie widzi wlotu; okrąży lotnisko dwukrotnie, odchodzi na wschód i próbuje zniknąć się jeszcze. Słyszmy, jak się zbliża... Zamkną gaz. Siada na ślepo?...

— Uwaga, sanitarka! Uwaga, straż ogniowa! Uwaga na lotnisko...

— O.K., O.K., — skrzeczy głośnik. — Widzę wlot. Nie róbcie gwałtu.

Aha, — jest! Jeszcze podciąga gazem. Miną budę startową, czyli „karawan”. Traci szybkość... Siada, — piszczy hamulce.

— Runway cleared out!

Oddychamy z ulgą, jakkolwiek nad lotniskiem krąży już teraz osiem maszyn i co chwila zgłaszają się nowe.

Mgła gęstnieje. Pierwsza z naszych załóg schodzi na 150 stóp, żeby zobaczyć wlot. Anglicy pytają, czy nie ma innego lotniska w pobliżu, gdzie widoczność byłaby lepsza.

— Nie: wszędzie jest tak samo lub nawet gorzej.

Meteo podaje, że cała południowa Szkocja jest pod mgłą. Coś niebywałego! Dzwoni nasz operacyjny:

— Spieszc się, bo będzie coraz gorzej.

— Idź do cholery, — mówi Zygmunt. — Robimy przecież, co tylko można.

Im więcej maszyn ląduje, tym więcej ich przybywa nad lotniskiem.

— Żeby to tak z wódką, — wzdycha Zygmunt. — Nalewasz, rozumiesz, popijasz, a w butelce coraz pełniej...

Dziewięć maszyn na ziemi. Dwanaście maszyn na ziemi. Czternaście na ziemi...

— Ilu się zgłosiło? — pytam.

— Szesnastu krąży. Brak jeszcze siedmiu, — mówi Zygmunt.

Spoglądam przez ramię Marii na trzy kolumny znaków. Trzy załogi z naszego dywizjonu już siedzą. Siedem jest nad lotniskiem. Jednej brak.

Sprawdzam znaki. Nie zgłosił się F, jak Feliks... Sarat!...

„Operation” podaje: dwa Halifaxy i cztery Lancastery lądowały w Swinderby.

— Czyje Lancastery?

— „Silkbird”.

Więc brak tylko o Sarata. Jest kwadrans po pierwszej. No, — jeszcze czas.

Mgła gęstnieje. Widzę tylko najbliższe światła. Jakaś załoga ląduje na radio. Idzie z daleka, od wschodu. Wszyscy czekamy w napięciu: to sierżant Nowak na P, jak Piotr. Dobry pilot. Powinien wejść na „runway” jak po sznurku.

Schodzi coraz niżej. W głośnikach milczenie. Trwa tylko świergotliwy szum kontaktu. Myślę o Nowaku: wpatrzony w środkowe białe światło wskaźnika, wsiuchany w jednostajny ton wysokiego cis w słuchawkach, trzymając w tej chwili ręce i nogi na sterach, gotów podciągnąć, skrócić. Jeśli przed jego twarzą zapali się lampka zielona, — jednostajny ton w słuchawkach będzie się urywał co sekunda: kreski. Jeżeli zapali się światło czerwone, wysokie cis rozpadnie się na trel: kropki. Kreski lub kropki — to zboczenie z prostej linii lotu na prawo lub na lewo. Ton ciągły — to lot po przedłużeniu „runway’u”. Trzeba za wszelką cenę utrzymać maszynę w strefie czystego wysokiego cis. Nie można dopuścić, by zapaliła się któraś z kolorowych lampek. Mechanik pokładowy siedzi obok pilota, wpatrzony w wysokościomierz i wariometr. 150 stóp — — 139 — — 120...

W pewnej chwili, gdy maszyna znajdzie się nad skrajem lotniska, w uszach pilota zadźwięczy nowy sygnał: lądować! Wtedy mechanik domknie cztery sprzężone dźwignie gazu, a pilot wyteży wzrok, szukając w ciemności światła „runway’u” i orientacyjnych lamp na małym maszcie startowego „karawanu”. Te lampy orientacyjne powinny być na lewo. Koniecznie na lewo od niego. Inaczej...

— P, jak Piotr podchodzi, — odzywa się w głośnikach. — Podchodzi dobrze...

— O.K., P, jak Piotr, O.K., — mówi Zygmunt. — Macie dobry kierunek.

— Minął wlot, — rozlega się z głośników. Silniki cichną. Patrząc w kierunku „runway’u”. Nic nie widać. Cisza. Wreszcie — światła, płynące w mroku...

Drgnęły, zachwiały się... Pierwszy pisk hamulców i nagle — huk, jak głośny strzał! Zielona iskra zatacza gwałtowny łuk, tuż za nią śmigła w górę biała i obie gasną. Rumor, zgrzyt, trzask! Ktoś krzyczy: — Kraksa!!!

Słychać, jak rusza sanitarka i wóz pożarny. Ich reflektory napotykają ścianę mgły, która oślepia kierowców. Mimo to pędzą na przejaź, ku środkowi „runway’u”. Z tarasu dochodzi podniecony gwar.

Wołam pogotowie obsługi z ciągnikami, wpatrując się w mrok za szybą: kiedy błysnie pożar?...

Maria, blada, wystraszona, oddycha z trudem.

— Niechże pani wstrzyma następnych, — mówi Zygmunt. — Hallo, startowy! Co tam się stało?

— Nie wiem, — odpowiada głośnik. — Aha, nie wielkiego. Pekła im dętka w kole. Załoga w porządku, tylko maszyna leży na plecach.

Okazuje się, że wypadek nastąpił za skrzyżowaniem „runway’ów”. Można lądować na linii SE-WN, póki nie odciągną rozbitego samolotu dalek ku skrajowi lotniska.

Zygmunt ociera pot z czoła. Pięć Halifaxów i dziesięć Lancasterów grzmi we mgle, krążąc nad lotniskiem. Dochodzi wpół do drugiej.

Zapowiadamy lądowanie na północny zachód. Gasną światła wlotowe i „runway” E-W. Zapalam SE-NW. Oficer startowy melduje, że jedzie ze swoim „karawanem” na właściwe stanowisko.

O pierwszej czterdzieści sprowadzamy na ziemię następną załogę. Czternaście pozostałych krąży już blisko półtorej godziny... A mgła jest coraz grubsza...

Dwa Halifaxy i jeden Lancaster zajęty nam osiemnaście minut.

— Tamtym skończy się benzyna, — mówi Zygmunt.

Dzwonię do „operation”:

— Zabierzcie sobie te maszyny do Swinderby, albo gdzie chcecie. My nie mamy rady.

— Swinderby już zakorkowane. Wszystko zakorkowane. Spieszc się, bo będzie jeszcze gorzej.

— Pociaszają nas, psiakrew, — wzdycha Zygmunt.

— Runway cleared out! — skrzeczy kolejny pilot.

— R for Robert, R for Robert! You may pancake...

Ładuje Robert. To nasza załoga. Ładuje George, V for Victory i drugi Robert, Halifax.

— Sarat się nie zgłosił? — pyta Zygmunt.

— Maria potrząsa głową.

— Nie, panie kapitanie.

Następny Halifax podchodzi ze złego kierunku, prosto na nas. Przez szyby na lewo widać jego światła. Zbliża się mimo ostrzeżeń. Jego pilot nie zauważył czerwonej rakiety, która trysnęła ze startu... Wali w poprzek „runway’ów”, rośnie nam w oczach, jako ogromna czarna masa i nagle, — zapaliwszy własny reflektor pod kadłubem, — dostrzega tuż przed sobą budynek kierownictwa ruchu z wytrzeszczonymi ślepiami szyb!...

Dodaje gazu, kładzie się na skrzydło, zadziera łeb... Jest na poziomie tarasu, gdzie

powstaje panika. Ludzie skaczą przez poręcz, jedni na drągach.

Wyciągnie, czy nie wyciągnie?...

Siedzimy, jak przygwożdżeni do krzesła. Grzmot silników — aż boli w mózgu...

Szyby jęknięły i nagle wszystko przetończyło się nad nami w gwałtownym podmuchu: wyciągnął!

Odsyłam go na największą wysokość i niech czeka, bo stracił kolejkę. To mu zrobi dobrze na nerwy.

O wpół do trzeciej — widoczność zero. Pozostali w powietrzu dwie nasze załogi, które krąży nad lotniskiem na resztkach benzyny. Słychać ich silniki to tu, to tam. Usiłuję po raz czwarty sprowadzić je na „runway”, — bezskutecznie.

Znów telefon z „operation”:

— Niech odejdą na południowy wschód i skaczą pomiędzy Boston a Skegness.

Ale żadna z załóg nie chce skakać. Rozumiem je doskonale: może się zdarzyć, że wyskoczą do morza...

— Spróbujemy jeszcze raz.

Maszyny są lekkie, bez ładunku i prawie bez benzyny. Będą lądować poza „runway’em”, byle w dobrym kierunku.

Schodzą pierwsza, mijając o metr „karawan” oficera startowego.

— Dobra! Zamknijcie gaz!

Chwila napiętej ciszy. Niesie ich, niesie...

— Rany Boskie, przesmarują lotnisko...

— Nie przesmarują.

Na skrzyżowaniu „runway’ów” rozlega się charakterystyczny chrobot amortyzatorów. Ogón Lancastera podskakuje na nierównościach. Bębni, dudni, dobieja.

— Siedzą!

Słyszę drugą maszynę nad nami: przeszła z zachodu na wschód i w parę sekund po tym zawraca w jakimś wariackim skreśle, bo znów grzmi bardzo nisko, tym razem od północy.

— Co oni, do cholery, oszaleli?! — irytuje się Zygmunt. — W takiej mgle...

Wściekły ryk silników guszy jego słowa. Maszyna przewija się w skreśle od południa, wpada nad budynek „flying control” i natychmiast zawraca: słychać ją z zachodu.

— Akrobata, psiakrew. Zwali się w takim wiru na oślep i pozabija całą załogę.

— Cleared out! — zawiadamia nas ten, co już wylądował.

— You may pancake, bloody fool! — zgrzyta Zygmunt.

— O.K. Odchodzę na południowy wschód, — mówi spokojnie „akrobata”.

Słyszmy jak mijają nas w górze i oddala się, ale w tej samej chwili cztery silniki ryczą z innego kierunku, huczą nam nad głowami, cichną w oddali.

— Co to jest?!

— Druga maszyna, — mówi startowy ze swojej budy. — W powietrzu są dwie załogi. Maria próbuje nawiązać kontakt z tą drugą. Sygnt B — nie odpowiada. Sygnt C — milczenie...

— Ładna historia: nawaliło im radio...

Od jak dawna krąży nad lotniskiem? Czy nas słyszą i tylko nie mogą sami nadawać, czy też odbiornik ich nie działa? Dlaczego „operation” nie uprzedziło nas o tym?...

Tymczasem schodzi tamten, którego niesłusznie posądzaliśmy o szaleńcze skrety we mgle. Prowadzi go równy, jednostajny sygnał wysokiego cis.

Minuta... Dwie minuty... Dwie trzydzieści... Startowy podaje:

— Mijają wlot.

Zaraz po tym słychać na „runway’u” hamulce. No — ten wyckrłow! Już porykuje silnikami, wykręca w prawo, kołuje w stronę „perimetru”!

— Cleared out!

Słychać znów zbliżającą się maszynę w powietrzu. Zygmunt robi cały wykład:

— Jeżeli mnie słyszycie, lećcie na wierzchołek stożka reflektorów i strzelcie rakietą. Jeżeli nie widać stożka, lądujcie z południowego wschodu na sygnale dźwiękowym. Jeżeli nie możecie tego zrobić, to za trzy minuty zapalę silne światła pionowe w wlotu na południowo-wschodnim skraju lotniska. Ładujcie według tych światła. Jeżeli się nie uda, lećcie między Skegness a Boston, — kurs: jeden, trzy, pięć; jeden — trzy — pięć. Dwadzieścia do dwudziestu pięciu mil stąd. Tam możecie skakać. Over!.

Grzmot silników nad głowami, potem coraz dalej, coraz ciszej; odchodzą na wschód...

Czekamy. Głowa mnie boli, oczy pieką od dymu tytoniowego i z niewyczasu. Wstaje, wychodzę na taras. Mgła kłębi się w żółtym świetle okien. O balustradę oparte trzy sylwetki. W pierwszej z nich poznaję księdza. Wygląda, jakby był zatopiony w modlitwie. Spoglądam ku wschodowi. Lepka, brunatna ciemność; nie widać ani jednego światła. Chłód wślizguje mi się za kołnierz, przyprowadzając o skurcz zmęczone mięśnie grzbietu.

W tym gestym, zimnym kleju, który napienia ciemną przestrzeń, zatapiając nawet trójnog reflektorów nad lotniskiem, od dwóch, może od trzech godzin krąży samolot. Siedmiu ludzi, odciętych od świata, czeka na zezwolenie podjęcia ryzykownej próby: muszą obniżyć lot do wysokości budynków i masztów, ominąć je na ślepo, na ślepo obrać kierunek, na ślepo wejść nad skraj lotniska i zamknąć gaz. Nie widząc ziemi, wyrównać trzy stopy

nad jej powierzchnią przy szybkości stu pięćdziesięciu mil na godzinę; przy szybkości, większej od huraganowego wichru...

Omyłka o kilka stopni w kierunku — to zderzenie ze ścianą jakiegoś budynku, z samolotem na postoju, z nasypem szosy. To śmiertelny młyniec na jakimś płocie, czy w rowie. To kraksa, gorsza niż karambol najszybciej pędzącego samochodu. Omyłka o ćwierć sekundy w ściągnięciu steru nad ziemią — to złamanie podwozia. Masa kilku ton, pomnożona przez prędkość cyklonu, stworzy moment bezwładności, zdolny rozbić czaszki tych siedmiu ludzi, jak skorupki od jajek, i zmiażdżyć ich ciała na krwawą masę...

Wracam na swoje miejsce za biurkiem. Plan światła na mlecznym ekranie mieni się klejnotami, do których przybył rząd brylantów na wschodnim skraju lotniska. To potężne białe światła pionowe, które może przebijają mgłę, a w każdym razie utworzą w niej jasny, świecący obłok. Widać go przez szyby na prawo: stoi jak błądy upiór wśród nocy. Wskaże kierunek załódze, lecz i oślepi ją w chwili, gdy maszyna przesyje go na wskroś...

Leć!... Lotnisko jest puste: ciągniki wywlekły rozbitego Lancastera, P, jak Piotr, pod skraj lasu; oficer startowy odesłał swój „karawan” między hangary i pozostał sam, z rakiетnicą w ręku, gotową do strzału.

Słychać zbliżający się warkot silników. Cichnie i rozlega się znowu. Pilot przymyka gaz i podciąga, jakby macał podwozie: jak daleko do ziemi?... Wszyscy patrzmy w tamtą stronę, wstrzymując oddech. Cisza napina się jak struna. Łada chwila coś ją potraci. Łada chwila rozlegnie się dudniący chrobot podwozia i pisk hamulców, lub — cisza pęknie łomotem walącej się maszyny.

Nie! Czerwona rakieta spływa w mętnej aureoli błasku. Kto ją wystrzelił: załoga czy startowy?...

Nagi, ochrypły ryk silników, nisko, tuż nad ziemią. Coś pędzi przez mgłę i mrok, zbliża się, mija nas, rwie w górę, oddala się szybko...

— Złe podeszli, — skrzeczy w głośniku. — Omal nie wpadli na strzelnicę.

Okrążają daleko, szerokim łukiem. Wracają.

— Ja już nie mogę, — mówi Maria półgłosem.

Jest biała, żółta, roztrzęsiona. Ma zaczerwienione oczy między fioletowymi plamami powiek. Zygmunt odprowadza ją do krzesła pod ścianą i sam siada przy jej „desku”.

Trzask przestawianego kontaktu.

— Weźcie bardziej w prawo. Kurs dokładnie North-West, na środek światła.

Należy wątpić, czy oni nas słyszą. Musiała im nawalić cała instalacja. Ale — może...

Podchodzą znowu, i znów źle: tym razem na ukos, w kierunku lasu. Pilot wyrwa w powietrze Lancastera z otwartymi kłapami i jeszcze raz odchodzi na południowy wschód, mimo że jeden z silników przerywa: kończy się benzyna...

Wreszcie za trzecim razem siadają dobrze. Zgrzyt hamulców wydaje mi się dźwiękiem najbardziej harmonijnym ze wszystkich, jakie może pochwylić słuch ludzki. Uśmiecham się po raz pierwszy tego wieczora, gdy Maria mdleje i spada z krzesła, Zygmunt zaś mówi:

— Diabli nadali z babami.

W chwilę potem, podczas gdy Maria pływa w kałużach wody z karafki, przychodzi wiadomość: „Wylądował Lancaster F, jak Feliks. Wszyscy zdrowi”.

Tylko Sarat mógł to wytrzymać. Tylko on mógł zdobyć się na oczekiwanie swojej kolei przez tyle czasu. Każdy inny dowódca załogi lądowałby wcześniej; zapewne zaraz po powrocie. On wiedział, że dzieje się coś niezwykłego. Widział z pewnością obce maszyny nad lotniskiem i odgađ, że sprowadzamy w trudnych warunkach kilka dywizjonów na ziemię. Czekał, bo nie mógł się z nami porozumieć. I teraz, prawie po siedmiu godzinach lotu, spędziwszy trzy godziny we mgle nad własną stacją, nie poddał się. Z pewnością kierował każdym manewrem pilota, panował nad jego wolą, trzymał na wodzy jego nerwy i potrafił wycisnąć z załogi wszystko, na co ją było stać. Taki już był ten Sarat. Wiedziałem o tym dobrze: znałem go przecież.

Nie miałem czasu zejść do oficera informacyjnego, żeby zobaczyć Sarata i jego załogę. Trzeba było „zakończyć czynności służbowe”, zrobić jakieś wykazy, napisać raporty, a że sierżant Maria — nawet po wysuszeniu — nadawała się bardziej do trumny niż do pracy biurowej, więc musiałem pomóc Zygmuntowi.

Nie mogłem też wiele myśleć o Saracie, choć raz po raz narzucało mi się wspomnienie tej sceny na opustoszałym lotnisku, której przypadkowym świadkiem byłem ostatniego popołudnia. Doznawałem dziwnego uczucia: jakby ich było dwóch. Jeden mocny, prosty, o niezwykłej sile woli, dzielny, odważny Sarat, który ze znaną stopą przewędrował pieszko pół Europy, aby nie zostać jeńcem wojennym, i który, — powróciwszy z zadania bojowego z uszkodzoną instalacją radiową, — krążył przez trzy godziny we mgle, aby nie wprowadzać zamieszania wśród trzydziestu kilku lądujących bombowców.

(Dokończenie na str. 8-iej)

*) Dokończenie z poprzedniego, 4 (46) numeru.

FLYING CONTROL

(Dokończenie ze str. 7-ej)

Drugi, który, korzystając z tego, że jego kolega dostał się do niewoli, ukradł mu narzeczoną; bezwzględny, wyrachowany drugi Sarat, który wycisnął z własnej załogi nadludzki wysiłek, aby przysporzyć sobie uznania i sławy... Który z nich był prawdziwy?

Nad ranem, rozbierając się wreszcie do snu, natrafiłem na ów list w zaklejonej kopercie, który Sarat wręczył mi przed startem. Wróciłem, a zatem powinienem być ten list przeczytać. Byłem jednak zadowolony z tego, że taką lekturę i odczytałem to do rana. Może zresztą on się rozmyśli i będzie wolał, żebym mu zwrócił tę kopertę nienaruszoną, — pomyślałem. Nie miałem wcale ochoty wtrącać się w tę jego osobistą sprawę.

Spałem twardo, jednym ciągiem, do południa. Kiedy się obudziłem, Zygmunta już nie było. Wstałem i zacząłem się golić. Byłem wypoczęty i głodny jak wilk.

Na dworze brzęczał w słońcu pierwszy naprawdę majowy dzień. Ogoliłem pół twarzy i dojechałem właśnie do podbródka, gdy do pokoju wpadł Zygmunta, zatraskując drzwiami za sobą, jakby go kto gonili.

— No, nareszcie wstajesz, — powiedział z ulgą, lecz tonem wyrzutu.

Spojrzałem na jego odbicie w lustrze i wzruszyłem ramionami.

— A co cię tak pogała? Żołądek?

Mruknął coś, że śliczna pogoda i nagle powiedział:

— Wiesz, przyjechała Lucy... Chciałbym, żebyś z nią pogadał.

— Nie mam jej nic do powiedzenia. Niech z nią Sarat gada.

— Sarata nie ma. Polecił do Londynu. Omal się nie zaciąłem.

— Kiedy?!

— Z samego rana.

— Ma chłop zdrowie. Po takiej nocy... Zygmunta wciął się niecierpliwie.

— Słuchaj, — zaczął, — pogadaj z nią. Ona... hm, ona chce jechać za nim. Diabli nadali z babami!

— A co cię to obchodzi? Niech jedzie, kiedy jej tak pilno, że nie może poczekać. Kiedy on wraca?

Zygmunta spojrzał na mnie z tajemniczą miną.

— On wcale nie wraca.

Tym razem zaciąłem się naprawdę.

— Nie gadaj idiotyzmów, kiedy się gole. Co się stało?

— Nie wiem. Nikt nie wie. Adiutantowi powiedział, że dywizjon nowemu dowódcy ma zdać Szczyciel i że ma go zastępować tymczasem. O ósmej kazał przygotować maszynę, a o dziewiątej omdelować się u komendanta stacji i poleciał, zabierając wszystkie swoje kłopoty.

— Melodramat, — powiedziałem, obmywając twarz z resztek mydła. — A co Lucy?

— Lucy też nic nie wie, ale czegoś się domyśla i czegoś się boi. Jest bliska spazmów, jeżeli takie rzeczy w ogóle zdarzają się Angielkom.

— Lucy jest Szkotka, — powiedziałem zamyślony, i nagle przypomniałem sobie o tym liście: tam musiało być wyjaśnienie!

Wziąłem kopertę ze stołu i podałem Zygmunta.

— Przeczytaj to na głos. — powiedziałem. — Ja się będę ubierał.

Wciągając świeżą koszulę, usłyszałem szelest rozdieranego papieru, poczem okrzyk zdziwienia.

— Cóż tam jest? — zapytałem niecierpliwie.

— Mój kochany, — rzekł Zygmunta sentencjonalnie, — zawsze mówiłem, że prawdziwa męska przyjaźń jest silniejsza od tak zwanej miłości...

— Mówiłeś coś wprost przeciwnego, ale mniejsza o to. Czytaj-że nareszcie.

Zygmunta chrząknął i wreszcie zaczął:

„Kochany Herbertcie. W moim życiu zaszły komplikacje, z którymi nie umiem sobie poradzić. Nie chcę o tym pisać szczegółowo. Nie umiałbym zapewne znaleźć słów właściwych. Nie zamierzam też usprawiedliwiać się z tego, co się ze mną stało. Nikt tu nie ponosi winy, i w ogóle o jakiejś „winie“ nie może być mowy. Ale może być krzywda bez winy. Nie mogłbym tego znieść, a nie potrafię wybrnąć z sytuacji. Dlatego — uciekam. Lecę do Londynu, skąd już mam przydział do dywizjonu transportowego między Ameryką a Afryką i t.d. Tak się szczęśliwie składa, że wprost z lotniska w Londynie odlecie do Atlantyki. To mnie uchroni przede mną samym i zapobiegnie dalszym komplikacjom. Ale — tak czy inaczej — to dezercja. Tu zostaje ktoś, kto uciec nie może. Ktoś, — domyślasz się, — bardzo mi drogi. Pomóż jej. Niech zapomni o mnie. Bądź zdrow. Dziękuję ci Sarat“.

Tak, — powiedziałem na pół do siebie. — Gdyby nie wrócił z tego lotu, list nie byłby potrzebny...

— Co ty wygadujesz?! — oburzył się Zygmunta. — Chodźmy.

Lucy czekała na nas w samochodzie. Była bardzo blada, ale starała się panować nad sobą. Nawet się uśmiechnęła.

— Muszę koniecznie zobaczyć się dzisiaj ze squadron-leaderem Saratem, — powiedziała, siłując się na spokój. — To bardzo pilna sprawa.

Kąci jej ślicznych ust opadły w dół. Zaciśnięta szczęka. Widać było, że może jej nie starczyć siły, aby utrzymać się w trudnej roli, którą chciała grać nadal. Było mi jej żal.

— Look here, — zacząłem łagodnie. — Sarat wyjechał i...

— Wiem, — przerwała. — Ale to naprawdę bardzo pilne. Czy może mi pan powiedzieć, o której mam pociąg do Londynu?

Zawahałem się, ale po namyśle doszedłem do wniosku, że życzeniem Sarata było, aby dowiedziała się o tym tu, między nami, nie sama, wśród obojętnych, obcych ludzi.

— Jego nie ma już w Londynie, Lucy...

Spojrzała na mnie przenikliwie. Rumieniec gniewu wypłynął na jej policzki.

— Pan kłamie, — powiedziała. — Pan coś ukrywa przede mną, — zaśmiała się nerwowo, raz jeszcze wracając do swej roli. — Cóż to za tajemniczy spisek? — zwróciła się do Zygmunta ze sztuczną swobodą.

Zygmunta bezradnie spojrzał na mnie i rozłożył ręce, unosząc w górę ramiona.

— No, — nie, nie spisek, tylko... Oh, Lucy, on musiał wyjechać dalej... Służba, rozumie pani, i tego... Herbert to pani wyjaśni.

Lucy raz jeszcze zmusiała się do uśmiechu, za którym czaił się niepokój.

— Oh, Herbert, don't be cruel. Intriguje mnie pan szalenie. Coście ostatecznie zrobili ze swoim dowódcą?

Ująłem delikatnie jej dłoń w grubej, miękkiej rękawicy szoferskiej.

— Sarat dostał przydział do Ameryki jako nawigator transportów lotniczych, — powiedziałem, patrząc jej w oczy. — Poleciał do Londynu dziś rano, zupełnie niespodzianie, i teraz jest już zapewne nad Atlantykiem. I am sorry, Lucy. Rozkaz przyszedł tak nagle, że nie mógł pożegnać się z panią.

Twarz jej stężała. Opuściła szybko powieki, schyliła głowę i lekko uściśnęła moją rękę. Milczeliśmy wszyscy troje przez chwilę.

— I understand, — powiedziała wreszcie cicho. — Czy który z was może odwieść mnie do Newark?

— Zygmunta pania odwiezie. Ja mam służbę i muszę zostać, — zrejterowałem szybko.

Mój przyjaciel przebił mnie nawyrost ja-dowitym spojrzeniem, po czym zrezygnowany siadł obok Lucy. Wóz ruszył i, — bliźszy mi, — skręcił na szosę.

Porucznik Herbert

Z teatru

Czwarte nieporozumienie

POLSKI TEATR SZKOLNY: „Balladyna“ — tragedia w pięciu aktach J. Słowackiego. Inscenizacja i reżyseria — Wł. Janicki. Dekoracje — A. Feldman, kostiumy — H. Więckowska.

Czwarta premiera Polskiego Teatru Szkolnego jest dowodem wytrwałości kilku miłośników teatru, którzy w niełatwych warunkach potrafili stworzyć i utrzymać stałą scenę polską w Palestynie. Skromnym początkom przysłała z pomocą Delegatura Ministerstwa Oświaty, przyjmując na siebie finansowanie imprezy w zamian za serię przedstawień każdej nowej sztuki w szkołach, pozostających pod pedagogiczną opieką Ministerstwa.

Tego typu zespół teatralny może w Palestynie spełniać pożyteczną rolę, ilustrując młodzieży naukę literatury, publiczności uchodźczej dostarczając jednej z nielicznych sposobności rozrywki kulturalnej we własnym języku, emigracji zaś żydowskiej przypominając kraj, do którego wraca ona chętnie we wspomnieniach i którego mowę często uważa za drugi język ojczysty.

Teatr Szkolny umiał skupić w swoim zespole kilku aktorów zawodowych z J. Andrzejewską na czele, zwrócił uwagę na paru zdolnych amatorów i pokazał, że zdola pokonać trudności techniczne pracy objazdowej, w czym magna pars fuit zapalony organizator imprezy, por. Jastrzębski. Tym bardziej więc należy żałować, że ów zbiorowy wysiłek trafia w próżnię, gdy idzie o istotne wartości literackie i teatralne. Zespół, do dziś dnia nie posiada kierownictwa artystycznego i wolno wątpić, czy wśród ludzi, decydujących o repertuarze i kierunku inscenizacji, znajdzie się choć jeden z odpowiednim fachowym wyższym wykształceniem. Toteż nieuchronny skutek jest ten, iż każde kolejne przedstawienie staje się świeżym nieporozumieniem. I nie zaradzi temu ani sprężystość organizacyjna, ani pracowitość organizatorów, ani wykonawcy, nie pozbawieni temperamentu scenicznego, gdy repertuar układa się od przypadku do przypadku i zazwyczaj ponad stan, a każda nowa inscenizacja i reżyseria trafia kulą w plot.

W „Zaczarowanym kole“ sięgnięto po baśnię widowiskową, którego realizacji nie podola teatr, grający w objędozie, na prymitywnych scenach, albo i bez sceny. W „Panu Jowialskim“ zamieniono na sentymentem otoczony staropolski obrazek to, co miało być satyrą i potępieniem, wreszcie — podejmując się wystawienia „Balladyny“, powtórzone stary błąd porwania się na rzecz ponad siły. Kilkanaście obrazów, częste zmiany dekoracji, konieczność statystów, fantastyczny charakter sztuki, kilka głośnych ról do obsady — przerastało to z góry możliwości, jakie były do rozporządzenia. Ale odpowiadało ambicjom, co zdecydowało.

W rezultacie przedstawienie przypominało anegdotę Czernańskiego z „Kraju dla dzieci-nych“ o amatorskim widowisku, rozpoczętym po południu, a ukończonym nazajutrz rano przy cierpliwym chrapnięciu widowni. W Jeruzolimie, słuchając „Balladyny“, dotarliśmy o północy do ostatniej sceny trzeciego aktu. Pozostawały jeszcze dwa.

Działo się tak mimo istotnego usprawnienia zmian, widocznego wysiłku zespołu i gęstych skreśleń tekstu. Ten zresztą ostatni sposób sprawadził sztukę nieomal do streszczenia, zatracił wiele piękności wiersza, postacie pozbawił psychologicznego wycienienia, a ograniczając przede wszystkim sceny Goplany, zabrał „Balladynie“ to, co najpiękniejsze. Wiadomo, jak wyglądają arcydzieła literatury w beceremonialnych skrótach.

Teraz wyobraźmy sobie, że młodzież, której polonista gorliwie tłumaczył wartości literackie „Balladyny“, zobaczy owe widowisko ubogie, nużące i rozwlekłe, jakby na przekór gwałtownej, dramatycznej akcji tragedii, rozgrywającej się w czterech dniach. Niewątpliwie przyjdzie rozczarowanie na zapas do wszystkich oficjalnych arcydzieł dramatu, umieszczonych w programie gimnazjum i liceum.

Reżyserowi trzeba przyznać wiele trudu, włożonego w zmontowanie tej ogromnej, skrzypiącej maszyny, ale też i trzeba mu zarzucić nieodczucie, niezrozumienie charakteru sztuki.

Kapryśne pomieszczenie motywów jest w tej tragedii rozmyślne i miało naśladować sponta-

niczność i dowolność kompozycji ludowej baśni, szukającej raczej scen barwnych i niezwykłych, niż pilnującej konsekwencji w opowiadaniu. Główny motyw zabójstwa, ujawnionego przez siły przyrody, powtarza legendę, znaną prawie całemu folklorowi europejskiemu, u nas zaś opowiedzianą według ludowej tradycji w balladzie Al. Chodźki. W ślad za tym idą motywy mickiewiczowskie „Lilii“, „Świtezianki“, staropolskiej komedii rybaltowskiej „Z chłopów król“, a obok nich liczne wątki i postacie szekspirowskie, potraktowane przez Słowackiego romantyka również jako wyraz wyobraźni ludowej. Stąd też splata się w „Balladynie“ szekspirowski „Król Lear“ z „Makbetem“, „Sen nocy letniej“ z „Burzą“ i „Jak wam się podoba“, gdzie też można znaleźć rodowód dziwnego Filona.

Tak więc — nie oryginalność tematyczna, ale wirtuozeria formalna w łączeniu sprzecznych wątków, nie dramatyczny realizm, ale fantastyka, są główną cechą i osobliwością „Balladyny“. Jest ta inscenizowana baśń nie polskim „Makbetem“, lecz raczej polskim „Senem nocy letniej“, gdzie bukoliczny Filon spotyka się z nadgoplańskim chłopem i dziewczyną, podobnie jak w imbroglu Szekspira mityczny Tezeusz obcuje z angielskim rękodzielnikiem. Orok wiersza, fantastyka, baśniowa różnorodność, górują nad wątkami dramatycznymi, z których jeden tylko rozwija się silnie. Od aktu trzeciego jesteśmy świadkami dramatu władzy, nieobcego również i Szekspierowi w „Ryszardzie III“. Piorun zabija królową, potocznej sprawiedliwości staje się zadość, ale historia może wówczas powiedzieć, że i Chrobry i Śmiały zdobyli swoje korony poprzez przemoc, krew i — zbrodnie, jakbyśmy dziś nazwali osłanianie przeciwników. „Sprawiedliwość“ zresztą zostaje wymierzona ręką Goplany, równie karzącej krzywdy ludzkiej, jak i mszczącej zabójstwo Grabca. Świat fantastyczny rozstrzyga o losach świata rzeczywistego.

Ten związek został zagubiony przez inscenizatora, który oddał pierwszeństwo światu realnemu i całość potraktował z grubym realizmem. Przy wspomnianych już skrótach szuka straciła swą tęczość, swój koloryt i styl. Miary złego dopełniały realistyczne dekoracje, wprawdzie najlepsze, jakie miał Teatr Szkolny, tym niemniej pozostające w typie sprzed półwiecza. Projektodawczyni kostiumów dała doskonałego „króla dzwonkowego“, trzymając się poza tym podyktowanego przez reżysera realizmu, toteż stylizowana królewska suknia Goplany mieszała się z tradycyjnymi, w szekspirowskim guście, strojami rycerzy. Należało zaś całość przestylizować na słowiańskie motywy ludowe i nawet dla Balladyny-królowej zachować prostą szatę, rycerzy zaś ubrać w udające lby zwierzęce teutońskie helmy.

Z wykonawców na pierwszy plan wysuwają się: Andrzejewska (Alina) i Piątkiewiczowa (Matka). Obie miały prawdę sceniczną, a ponadto jedna tylko Andrzejewska pamiętała, że sztuka pisana jest wierszem. M. Merczyńska (Balladyna), przy niezaprzeczalnych zdolnościach sceniczych nie mogła podolać tytułowej roli, nie rozporządzając koniecznymi dla niej warunkami głosowymi, i — co ważniejsze — nie dając jej jednolitej koncepcji. Grała od sceny do sceny, mając przy tym dobre momenty.

Ślawski (Kirkor) spełniał swój obowiązek, będąc aktorem zbyt doświadczonym, by nie wiedzieć, iż podjął się nieodpowiedniej dla siebie roli. Gebel (Grabiec) pokazał zdolności charakterystyczne. P. Cwojdzka (Gopla) o ładnym głosie — była lepsza od wszystkich swoich roli poprzednich. Choćlił zdradzał prawdziwą aktorkę, (R. Rawską) Skierka (Z. Burda) powinien mieć pretensję do reżysera za brak dobrych rad, Filon zaś za to, że reżyser wypuścił go na scenę z gwarową warszawską dykcją. Wszystkim wreszcie innym trzeba przyznać wiele pracy i dobrej woli.

Na przyszłość — byłoby lepiej, gdyby zespół porzucił niewłaściwe ambicje, szukał sztuk łatwiejszych w wystawie i poświęcił swe wysiłki starannemu opracowaniu tekstu.

Zdzisław Broncel

WIERSZY MARII PETRY

Maria Petry. Struny. Okładka projektu Zygmunta Kowalewskiego. Jeruzolima, autorka, 1944. Str. 80.

Pod powyższym tytułem, zbyt ogólnikowym i trochę banalnym, p. M. Petry zebrała tonik wierszy; niektóre z nich znane nam są już z czasopism. Są to poezje wysokiej klasy.

Zbiór składa się z dwóch części: pierwsza: „Moje słowa“ i „Rozmowy“, druga: „Wędrówki“, „Album wschodni“, „Nastroje i niepokoje“, „Wyznania“, „Rapsod o gen. Sikorskim“. Całość można określić jako pamiętnik czy notatnik poetycki.

Już dawno zauważono i stwierdzono z żalem, że poezja emigrancka powtarza monotonię i aż do znudzenia te same ograniczone tematy: rozpacz, powrębnia i tęsknota za krajem, wreszcie: pobudkę wojenną. Wina to z pewnością nie tylko poetów, ale przynajmniej tak samo wydawców. Na te tematy stylizowana jest cała antologia p. Bielatowicza: „Azja i Afryka“, podczas kiedy nikt z poetów tego zbioru posiada w swojej teście, względnie ogłasza wiersze o innym, szerszym zakroju.

Z tej jednostronności p. Petry zdaje sobie sprawę i w swoim zbiorze stara się ją przezwyciężyć. Jest to program poetycki, który uwzględniła w przedmowie „O poezji“. Oczywiście nie wystarczy rozumieć i stawiać postulat, należy go realizować poetycko. Innymi słowy: trzeba pisać tak, żeby twórczością przezwyciężyć tamtą jednostronność. Nie potrzeba do tego nawet wypowiadać programu. Wszakże dobrze się stało, że p. Petry podała swoją przedmowę, od razu bowiem się orientujemy, że tę jednostronność przełamuje nie przypadkowo, lecz świadomie.

Oczywiście zachodzi pytanie, czy zamiar się

powiódł, czy wiersze p. Petry istotnie przezwyciężają poetyckimi walorami i prowadzą nas od tęsknoty i rozpacz w jutro. Sądzę, że można dać odpowiedź pozytywną.

W swoim pamiętniku poetyckim autorka przechodzi trzy etapy: wspomnienia, czy nastroje z kraju, wędrówkę po obcych krajach i afirmację swojej osobowości. Wędrowanie stanowi pomoc, dający coraz lepsze uświadomienie, drodze przez lądy i morza odpowiada równoległa droga w głąb własnej świadomości i, mimo młodości, dzięki przeżyciom, doświadczenia. Uwydatnia się to w zwartości myślowej, ale co podnieść należy i co świadczy dodatnio o psychice poetyckiej, w rozwoju nie tyle wpływów, co natchnień. „Moje słowa“ pobrzmiewają echem Staffa z ostatniego okresu czy Kasprowicza z „Księgi ubogich“, „Inna noc“, którą uważam za najlepszą ze wszystkich wierszy, stoi pod znakiem Rimbauda.

Pomost — to droga przez Węgry, Serbie, Turcję do Palestyny. Każdy z tych krajów pozostawił ślad w notatniku i każdy coś oznacza w rozwoju poetyckim. Wyraz co prawda nierówny; najdoskonalsze to „Pieśń o Izambri“ i „Dwa domy“. Oba odzwierciedlają życie wschodnie, dając jego momenty same w sobie absolutne, bez nagminnego przeciwstawienia Polsce. Gdyby je wydrukować po angielsku lub po francusku, miałyby to samo znaczenie poetyckie. Autorka urzeczywistnia przełamanie jednostronności polskiej.

Zasadniczy i programowy jest „Alarm drugi“. P. Petry głosi tu przezwyciężenie zła przez Boga, prawdę i miłość. Programowe wiersze są chyba najtrudniejsze, transpozycja na poezję udaje się ledwie największym twórcom. Z tym wszystkim, mimo pewnej retoryki, „Drugi Alarm“

oznacza się niecodzienną mocą słowa.

W zbiorze przewijają się tu i ówdzie erotyki. Są dyskretne, mają coś z lekkiego dotknięcia, z nastrojów jesiennych, o kolorze srebrzysto-mroźnego morza pod zachód słońca.

Jako jedną z cech charakterystycznych podkreślamy nutę religijną całego notatnika. Nie znajdujemy wierszy o temacie osobliwie religijnym. Ale czujemy wyraźnie, że życiem dnia powszechnego autorka myśli i nadzieję swoją utkwiała w Bogu i że On stoi w głębi jej istoty. Głęboki wiersz, jeden z najlepszych, poświęca „Bogu“, w „Innej nocy“ otwiera się perspektywa ku Niemu. Jest to znowu droga już do pierwszych wierszy „Bożej skrzypki“, rozwój ku doskonałości formalnej i myślowej. Ten motyw „okno na absolut“, jak powiedział Miriam, podnosi twórczość autorki ponad błęchtr doczesności.

Jeszcze dwa słowa o stronie technicznej. Poezje p. Petry należą przeważnie do kategorii *vers libre*. Jest to najtrudniejsza forma wiersza. Pozorna łatwość grozi bowiem bądź to zaniedbaniem, bądź popadnięciem w prozę poetycką, maskowaną zewnętrznym pisarskim układem. Wiersz regularny, wymagający klasycznej wersyfikacji, zmusza autora do doboru słów, do większego wysiłku, do intensywniejszej pracy. W *vers libre* to wszystko zastępuje rytm wewnętrzny. Autorka na ogół sprostała trudnościom tego wiersza. W wierszach regularnej klasyfikacji rażą niekiedy rymy: „żał ma — palma“ lub także w „Dwóch domach“ w całości żeńskich na raz męski: „dym — Elohim“, bez uzasadnienia.

Mimo poszczególnych niedoskonałości, uważamy zbiór p. Petry za wartościowy tak pod względem formalnym jak i ideowym.

X. Kamil Kantak

Autorzy artykułów niewydrukowanych proszeni są o zgłoszenie się do Redakcji po ich maszynopisy do dn. 1 kwietnia. Po tym terminie ulegną one zniszczeniu.

Książka zbiorowa, wydana staraniem PEN Clubu Polskiego

WIELKA BRITANIA

KRAJ — USTRÓJ — KULTURA.

Współautorzy:

S. Baliński, M. Chmielowska, H. Gotlib, W. Grabińska, Z. Grabowski, Z. Hołub-Paciewiczowa, H. Judd, J. Kunciewicz, M. Kunciewiczowa, J. Leo McGovern, W. Paton, W. Power, C. Poznański, M. Prozor, H. Tenenbaum, T. Terlecki.

Cena 300 milsów.

Wydawca: Ignacy Pokrywa
Adres Redakcji: Polish Information Centre
Jerusalem, Bezalel Street, House Valero
Redaktor: St. A. Balicki
Drukarnia: The Jerusalem Press Ltd.